Nr. 7. Warszawa, dnia 5 (17) Lutego 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 7.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.



POLITYKA.

UGODA I — WOJNA.

Ministeryum Koerbera, dar noworoczny dla Austryi, musiało śladem poprzedniego wejść na drogę przyrzeczeń, mających ukoić walkę między Czechami a Niemcami, toczoną na gruncie praw narodowych do języka w urzędzie, sądzie i szkole. W mowie wstępnej prezes gabinetu zobowiązał się wnieść pod uchwałę władzy prawodawczej umyślną ustawę językową: co wychodziło z czysto urzędniczego Witteka, to nie mogło nie wyjść z urzędniczo-ministeryalnego Koerbera. Ustawa wpadła w programat rządu, jako czyn najbardziej palący nietylko niezbędnością swoją, ale i ogniem przeciwieństw, martwych i szalonych punktów, które w nim tleją. Chcąc te przeciwieństwa wyrównać, projekt ustawy według praw jakiej takiej statyki logicznej ułożyć, a wreszcie zyskać choć wątłe pasemko nadziei, że trudy referentów ministeryalnych nie pójdą na marne, prezes gabinetu musiał zasady do projektu wydobyć z samych stron wojujących. Zgoda na zasady da zgodę i na projekt: z takiej logiki narodziła się komisya ugodowa.

Zebrała się ta komisya, tłumnością swoją cały sejm przypominająca — z posłów sejmowych, z radców państwa i mężów zaufania obu narodowości złożona — d. 5 b. m. w Wiedniu. To, że się zebrała, było już pierwszem jej powodzeniem; to, że się jeszcze do dnia 14-go włącznie nie rozlazła, jest drugiem. Niemcy jeszcze do tej chwili nie zrzekli się swojego „nie pozwalam“ przeciwko dotykaniu Szląska, bez którego znowu Czesi nie chcą zgoła mówić ani o Czechach, ani o Morawach. Te Morawy znowu tak dalece Niemcy uważają za własną swoją, wyłączną gospodarską zagrodę, że o żadnym innym języku autonomicznym urzędowym, prócz niemieckiego, nietylko mówić, ale nawet myśleć Czechom nie dają: godzenie się w takich warunkach jest rozszarpywaniem sobie piersi. Podzielenie się komisyi na dwie sekcye, czeską i niemiecką, jedną pod sterem Koerbera, drugą pod sterem ministra sprawiedliwości, Spens-Boodena, ułatwia pracę tylko mechanicznie, nie wprowadzając do niej najlżejszego choćby, a istotnego już, organicznego ułatwienia, jakie dać może jedna tylko logika, z punktów ugody już zdobytych postępująca ku punktom trzymanym jeszcze opornie, bronionym zaciekle przez sobkowską namiętność. Takie samo znaczenie mają i liczne podkomitety, czy podkomisye z łona każdej sekcyi wydzielane do spraw pojedynczych: pierwszych elementów zgody, a nie tych mechanicznych czynności, rozbijających tylko wielką bryłę na drobniejsze, potrzeba do właściwego już podjęcia trudów pojednawczych.

Elementów takich dostarczyć może tylko zasada zgodnie ustalona co do najdrobniejszych cząstek budowy społecznej, społeczno-narodowej obu prowincyj. Cząstkami takiemi są w jednorodnych, zbitych w masę gromadach narodowych gminy, w różnorodnych większości i mniejszości. Pierwszemi rządzi terytoryalność, drugiemi — indywidualność. Dla pierwszych samo już miejsce wyznacza język, dla drugich — rozstrzygającym jest charakter narodowy jednostek w skład większości lub mniejszości wchodzących. Trzeba przedewszystkiem oznaczyć tę mniejszość, która w przyszłym porządku prawodawczym ma mieć już byt prawny, a dopiero potem można będzie zasady dla większych ilości, większych gromad wskazywać i w materyalne już prawa je wyposażać. Robotę potrzeba zacząć od spodu, od stosunków najprostszych, i od nich postępować do coraz bardziej złożonych. Im dalej i wyżej, tem mniej powinno być różnic, a więcej równouprawnienia obu narodowości i obu też języków: namiestnictwo używać musi obu; sejm też nietylko w obu rozprawiać, ale prawa uchwalać ma obowiązek, żadnemu zgoła nie oddając pierwszeństwa. Podział na kurye może tylko uprościć machinę prawodawczo-administracyjną sejmu; zasada doskonałego zrównania panować musi bez kuryj równie dobrze, jak przy nich.

Zadanie nie okaże się tak łatwem, zasada terytoryalności tak dźwięcznie odbijać się już nie będzie o czysty marmur sprawiedliwości i bronzową tafię polityki, gdy, przyznawszy już prawa drobinom społecznym w szkole, sądzie i urzędzie — komisya ugodowa, obecna czy którakolwiek z przyszłych, przystąpi do spraw języka urzędowego wielkich terytoryów, jakie wytworzyły w królestwie czeskiem dzieje: na północo-zachodzie dla Niemców, w środku i na południu dla Czechów. Dlaczego Czech, mieszkający w królestwie czeskiem, w Chebie np., uznawać ma język niemiecki za wyłącznie panujący, dlaczego już na zawsze wyrzec się ma wielkiej terytoryalnej całości i wydać ją już na wieki Niemcom; dlaczego państwo czeskie ma być przez taki podział językowy rozszarpywane i terytoryalnie, a w Niemcach potęgowane jeszcze lgnienie ku zachodowi i północy, ku zbrojnej, potężnej, upaństwowionej ojczyznie niemieckiej? Czy nie lepiej byłoby powiedzieć: „Niema żadnych terytoryów wyłącznych, wyodrębnionych, zindywidualizowanych, a wzajem sobie wrogich: jest jedno tylko terytoryum królestwa czeskiego, ale na niem każdy ma

prawo do rozkazu, wyroku i nauki dla dziecka w swoim języku: nauczyciel też, sędzia, urzędnik w każdym z dwu języków powinien czynność swą spełniać. Niechaj człowiek wnosi z sobą wszędzie swoje prawo — niechaj terytoryalność indywidualności nie łamie." Zapewne, ale pozostaje zawsze jeszcze wewnętrzny język władz, którym na pewnem terytoryum hetmaństwa, obwodu czy historycznego obszaru musi być jeden z dwóch, albo czeski, albo niemiecki. Otóż ten język będzie już sam przez się dzielił kraj, będzie dzielił i ludzi w tym kraju. Przy najlepszej nawet woli — a gdzież tu ona jest? — tyle w całej tej sprawie pogodzenia Niemców z Czechami jest zasiek, wilczych dołów i przepaści, że z obecnej próby pojednania spodziewać się można tylko zaciętszej wojny. Jedynie federalizm może dać klucz do skarbca z klejnotami zgody.

MŁOT NIEMIECKI.

Zdobycie Alzacyi i Lotaryngii przez Niemców spowodowało powszechną rywalizacyę w zbrojeniu. Zjednoczenie Niemiec Europa musiała opłacić strasznym ciężarem militaryzmu, który paraliżuje siły żywotne narodów, jest kulą u nogi, zaporą na drodze postępu. Nie koniec jednak na tem. Drapieżny orzeł pruski zapragnął zdobyczy gdzieś na krańcach świata i dlatego nad Europą zawisła nowa groza: rozpoczyna się rywalizacya w zbrojeniach morskich, która na ludach Europy legnie nowym ciężarem niepomiernym.

D. 18 października roku ubiegłego, na bankiecie w ratuszu hamburskim, cesarz Wilhelm II wygłosił mowę, której kwintesencyą było: Potrzebujemy silnej marynarki. W jakim celu? Mowa cesarska nie zawiera wyraźnej odpowiedzi na to pytanie. Nie dali jej też odpowiedzialni ministrowie cesarscy w parlamencie Rzeszy. Staruszek Hohenlohe z dziwną rezygnacyą dźwiga ciężar odpowiedzialności za politykę, na którą najmniejszego wpływu nie wywrze. Oświadczył on jedynie, że „rządy Rzeszy postanowiły podnieść siły marynarki, flotyli bojowej i okrętów, przeznaczonych do pełnienia służby na obczyźnie." Minister marynarki, p. Tirpitz, który w marcu 1898 r. oświadczył, że powiększenie sił zbrojnych na morzu, uchwalone przez parlament, wystarcza do obrony interesów niemieckich — do zapobieżenia blokadzie wybrzeży niemieckich i obrony handlu zamorskiego, obecnie jąkając się i plącząc w słowach własnych, obalał wszystko, co wypowiedział pół roku temu. To też poseł Rychter, w sposób jasno i dobitnie malujący położenie, odpowiedział mu: „Przyznałbyś pan raczej, że wówczas kazano panu mówić *tak*, więc mówiłeś, dziś każą ci mówić inaczej, więc mówisz inaczej." Prawdziwym rzecznikiem planów cesarskich stał się p. Bülow, junacki minister spraw wewnętrznych. W mowie jego znajdujemy zapewnienia o stałych, przyjaznych stosunkach względem Rosyi, Francyi, Anglii, o niewzruszoności trójprzymierza, a zarazem groźby, nie wiadomo pod czyim adresem skierowane, że Niemcy nikomu bezkarnie „nie pozwolą deptać sobie po nogach" (jeden z tych zwrotów niesmacznych, które oklaskuje w parlamencie cała zgraja filistrów). Następnie była mowa o znaczeniu handlu wogóle i rozwoju niemieckiego w szczególności, o tem, jak to jedne narody wznoszą się a inne upadają, o wojnie hiszpańsko-amerykańskiej, o zmienności, cechującej stosunki polityczne obecnie, i w końcu jako kwintesencyę całego bigosu oracyjnego, wystrzelił banalny frazes: „W przyszłym wieku Niemcy będą albo młotem, albo kowadłem." A więc mamy najpierw zapewnienie, że dla celów zgoła pokojowych, dla ochrony swego handlu, Niemcy potrzebują pierwszorzędnej marynarki. Zobaczmy, co znaczy takie zapewnienie.

Handel zamorski Niemiec wzrósł w sposób zdumiewający, jest to fakt powszechnie znany. Lecz, czy fakt ten może służyć jako argument, dowodzący konieczności polityki zbrojeń morskich? Raczej przeciwnie! Kupcy niemieccy doskonale potrafili wyzyskiwać warunki, wytworzone bez ich współudziału: W Indyach i Australii, w Afryce południowej, Brazylii i Chinach stali się oni współzawodnikami kupców angielskich, a żadnemu z nich ani się śniło przywoływać pomocy okrętów pancernych. Orężem ich była jedynie taniość towarów niemieckich, uwarunkowana niską płacą robotnika niemieckiego oraz systemem protekcyjnym: Towary niemieckie są drogie w Niemczech, gdyż cła protekcyjne chronią je od konkurencyi, a haracz pobierany w ten sposób od spożywców w ojczyźnie, pozwala kupcom i przemysłowcom zadawalać się zyskiem minimalnym na rynkach obcych. Żeby sprzedawać tanio, trzeba produkować masowo, a handel zamorski daje możność zbytu masowego i na tem polega jego znaczenie dla kupców niemieckich. Powiększenie sił zbrojnych w żadnym razie nie przysporzy zbytu towarów i dla handlu niemieckiego dziś istnieje jedna tylko droga do dalszego rozwoju: zerwanie z dotychczasowym systematem protekcyjnym! Inne kraje bowiem z biegiem czasu skorzystały z nauki udzielonej przez Niemcy: otoczyły się również wałem ceł ochronnych. Kupcy niemieccy mogą się utrzymać na rynkach Stanów Zjednoczonych Ameryki południowej i kolonij angielskich, pod tym tylko warunkiem, że za cenę zniżenia cła niemieckiego na produkty rolnicze, Niemcy wytargują obniżenie ceł wywozowych w tych krajach na wytwory przemysłu. Działa okrętów pancernych nie zmuszą napewno do ustępstw ani Stanów Zjednoczonych, ani kolonij angielskich, ani rzeczypospolitych Ameryki południowej, którym Stany Zjednoczone zawsze będą gotowe nieść pomoc zbrojną. Istotnie siły zbrojne mogą posiłkować handel tam, gdzie się ma do czynienia z ludami o tyle bezbronnymi, że można im zaimponować pancernikami i kilku tysiącami żołnierzy, jak naprzykład w Chinach. Lecz handel z tego rodzaju krajami posiada znaczenie zgoła podrzędne. Handel wywozowy Niemiec np. przedstawia wartość 3,786,000,000 marek, z tego 702 miliony przypada na wywóz do Anglii, 435 milionów do Austro-Węgier, 398 milionów do Stanów Zjednoczonych, 372 miliony do Rosyi, 263 mil. do Holandyi, 254 mil. do Szwajcaryi, 210 mil. do Francyi; wywóz do Chin przedstawia zaledwie wartość 32 milionów, do innych krajów Azyi 10 milionów, do wszystkich państw Ameryki południowej zaledwie 60 milionów. A więc handel z państwami cywilizowanemi jest bez porównania ważniejszy, a ku obronie tego handlu, nie

4)

Aleksander Świętochowski.

DUCHY.

CZĘŚĆ CZWARTA.

KONIEC ŚWIATA.

WIDOK 6.

Sypialnia królewska, niby wielka szkatuła dla klejnotów, miała zarówno podłogę, jak ściany wybite niebieskim adamaszkiem z grubym podkładem puchu. Wznosiła się nad nią wysoka szklanna kopuła, wokoło której biegła galerya. Wszystko w tej komnacie było miękie, żaden sprzęt nie zawierał marmuru, kości lub metalu. Krzesła, kanapki, nawet stoły ułożone były z poduszek, ażeby dotknięcie nie napotkało nic twardego. Na półsofie, pokrytej długo strzyżonym aksamitem, z bosemi stopami w pantoflach ze skórek króliczych, w białym, kaszmirowym szlafroku, w szkarłatnej czapeczce na głowie siedział król, pijąc polewkę winną. Opodal niego na miękiej podłodze leżał błazen, wpatrzony w sklepienie kopuły, na którem był pięknie odmalowany widok nieba.

Król.

O czem ty możesz tak długo myśleć?

Koko.

Ach!

Król.

Nawet wzdychasz...

Koko.

Och!

Król.

Powiedzże mi, co ci tak dolega?

Koko.

Dziwię się bardzo, miłościwy panie, że nie odgadujesz, widząc przecie, że leżę i patrzę w górę.

Król.

To mnie nic nie objaśnia.

Koko.

Bo nie jesteś filozofem. Gdybyś był mną, ległbyś także na podłodze, wzniósłbyś oczy ku górze i rozmyślał głęboko nad bardzo ważnemi zagadnieniami: popierwsze, jeżeli bóg odwoła króla Algoty z ziemi, to zapewne umieści go w niebie za to, że nietylko uczył młode córki swych poddanych kobiecości, a piękne ich żony posłuszeństwa dla monarchy, ale także palił bezbożnych mężów, ojców i braci; powtóre, jeżeli go będzie brał do siebie w łasce, to prawdopodobnie z ulubionym jego błaznem. Otóż medytuję, czemby zjednać boga, ażeby nas przeniósł w tej miękiej sypialni, zwłaszcza że umierając, będziemy chorzy. Przecież nad obłokami miejsca nie brak, a ty, najpobożniejszy panie, zbyt wielu upiekłeś bogu grzeszników, ażeby on mógł ci odmówić wygody w niebie, do której przywykłeś na ziemi.

Król.

Popierwsze jesteś głupi, a powtóre zuchwały.

Koko.

O, nie! Bo zastanów się tylko, czcigodny mój władco: kiedy człowiek jest najgłupszym, zaraz po narodzeniu się, kiedy jeszcze nie umie rozróżnić palca od brodawki piersi, kiedy nie może być nawet ani szewcem, ani kowalem, ani woziwodą, może już być królem.

Król.

Podaj mi dyscyplinę.

Koko.

Zaraz podam ci twój rozum dla przekonania błazna.

Przynosi dyscyplinę, którą król uderza go kilkakrotnie.

Król.

Przekonaj mnie tak, filozofie, jeśli jesteś ode mnie wyższy.

Koko.

Ja i wierzgać nie potrafię, chociaż jestem mądrzejszy od konia. Świętej pamię-

trzeba armat i pancerników, dopóki istnieją stosunki normalne.

Lecz co będzie w razie wojny? — pytają obrońcy zbrojeń morskich. Odsyłamy czytelnika po odpowiedź do trzeciego tomu pana Blocha „O wojnie przyszłej" gdzie znajdzie obficie zgromadzony materyał dowodowy, upoważniający do przyjęcia następujących wniosków: 1) Wskutek postępów w technice wojny morskiej, żadne państwo stanowczo nie mogłoby ochronić od zagłady swojego handlu. Nawet potężna marynarka angielska nie zdołałaby w razie wojny ochronić okrętów handlowych swego państwa przed napaścią krzyżowników i torpedowców francuskich lub niemieckich, pomimo że rozporządza siłami bez porównania większemi. 2) Dwa państwa, prowadzące wojnę na oceanach, zniszczą wzajemnie swój handel, lecz żadne z nich nie będzie mogło podtrzymać handlu własnego. 3) W razie zamieszania w wojnę morską, każde państwo, bez względu na to, jakiemi siłami zbrojnemi rozporządza, musi pogodzić się z myślą, że handel jego na morzu będzie przerwany. Zadanie tedy marynarki pod względem obrony własnej schodzi do obrony wybrzeży, do zapobiegania wylądowaniu wojsk obcych, do obrony od blokady. Temu zadaniu marynarka niemiecka w obecnej swej sile może sprostać, co nawet przyznano już urzędowo.

Jeżeli więc rzecznicy powiększenia sił zbrojnych Niemiec powtarzają frazes o obronie handlu zamorskiego, jest to sofizmat świadomy lub bezwiedny.

Pozostaje zatem drugi argument p. Bülowa, „aby zostać w przyszłym wieku młotem. Niemcy potrzebują potężnej marynarki." To znaczy: Niemcy będą budowały okręty pancerne w celu zdobywania nowych posiadłości kolonialnych; zaczyna się nowa era — imperyalizm germański.

Zobaczmy jednak, w jaki sposób te plany mogą się urzeczywistnić. Niemcy posiadają już dziś ogromne co do przestrzeni posiadłości w Afryce — Togo, Kamerun, posiadłości w Afryce południowo-zachodniej i na wybrzeżu wschodniem, oraz w Polinezyi. Okazuje się jednak, że ta zdobycz nigdy korzyści nie przyniesie. Utrzymanie tych kolonij w roku ubiegłym kosztowało 16 milionów marek, a cały handel przywozowy i wywozowy razem wzięty wynosi zaledwie 14 milionów. Przypuśćmy, że handel ten daje korzyści znaczne kupcom; niechby przynosił 50%, to wtedy nawet dla zapewnienia kupcom 7 milionów zysku państwo poniosło wydatków więcej, niż dwakroć tyle! A przytem liczymy tu tylko wydatki bezpośrednie, należałoby doliczyć jeszcze dziesięć razy więcej, gdyż z powodu tych właśnie kolonij rząd przed laty domagał się budowy kilku krzyżowników, a każdy z nich kosztował 10—15 mil. marek. Rzecznicy polityki kolonialnej odpowiedzą, że kolonie przyniosą korzyść dopiero w przyszłości, lecz kto czytał choćby tylko urzędowe, oczywiście bardzo różowo zabarwione sprawozdania roczne o tych posiadłościach, wie, że one nie mają żadnych widoków rozwoju: Togo i Kamerun, jako krainy podzwrotnikowe, mogłyby rozwinąć się tylko wtedy, gdyby nadawały się do uprawy plantacyj, lecz dziś już mamy dowody niezbite, że z powodów klimatycznych w tych częściach Afryki plantacye nigdy się nie udadzą; posiadłość w Afryce południowej ma klimat zbliżony do transwalskiego, lecz rozwojowi kultury staje na przeszkodzie brak wody, który uniemożliwia hodowlę bydła na wielką skalę, a to jest jedyny środek utrzymania Transwalczyków; nadzieje zaś znalezienia złota zawiodły. Posiadłość wreszcie na wybrzeżu wschodniem ulega peryodycznie zarazom i głodowi. Wyspy Polinezyjskie, w posiadaniu Niemiec, odznaczają się również klimatem nieprzyjaznym; ludność wysp Karolińskich, kupionych niedawno za cenę 16 milionów marek od Hiszpanii, wymiera szybko. O osiedlaniu większej ilości Europejczyków w którejkolwiek z tych kolonij niema mowy.

Jedynie posiadłość na wybrzeżu oceanu Spokojnego, port Kiau-czau, zdobyty na Chinach przez napad korsarski, może przedstawiać pewną wartość, o ile udałoby się rozwinąć stąd handel z krainą położoną w głębi lądu, dla której port ten może się stać dogodnym punktem wywozowym. Lecz popierwsze dowiadujemy się z najnowszego sprawozdania parlamentarnego, że i tu Europejczycy mrą jak muchy wskutek tyfusu, febry i kataru kiszek, powtóre, ta część Chin, dla której Kiau-czau może być portem, jest tak biedną, że długo wypadnie czekać na jakiekolwiek korzyści handlowe. Tymczasowo więc port ten ma jedynie znaczenie militarne jako przystanek dla okrętów wojennych.

Dotychczasowa polityka kolonialna Niemiec nie może zatem poszczycić się powodzeniem. Nic w tem zresztą dziwnego: Kraje, nadające się do kolonizacyi europejskiej, dawno już zostały zaludnione (Ameryka, Australia, Afryka południowa), kraje zaś odznaczające się bogactwem naturalnem, o klimacie i glebie sprzyjającej uprawie zyskownych plantacyj, znajdują się dawno w posiadaniu państw europejskich. Drapieżny orzeł pruski nie znajdzie nigdzie na kuli ziemskiej zdobyczy łatwych a zyskownych. Przed możliwością wojny morskiej z Anglią lub Francyą cofnie się chyba nawet p. Bülow. Może on marzyć jedynie o zdobyczach na Holendrach, Portugalczykach, Duńczykach. Lecz nie ulega wątpliwości, że na taki rabunek niełatwo znów pozwolą inne mocarstwa, że wobec planów dzisiejszych owe mniejsze państwa europejskie będą usiłowały zabezpieczyć się traktatami, zawartymi z którémkolwiek wielkiem mocarstwem.

A więc państwo niemieckie może urzeczywistnić swoje zapędy zaborcze jedynie kosztem zwycięztwa w strasznej wojnie, która wszczęta o jakieś wyspy odległe, musi być rozstrzygniętą na lądzie europejskim; wojny, która wobec dzisiejszego stanu zbrojeń byłaby najokropniejszą klęską, jaką wyobrazić sobie można.

Lecz nawet jeżeli do wojny takiej nie dojdzie, to już same zbrojenia morskie, w których Niemcy pragną przodować, są klęską dla Europy. Wydatki na utrzymanie siły zbrojnej lądowej w Niemczech roku 1873 wynosiły nie całe trzysta milionów marek, w roku zaś ubiegłym 602 miliony, do czego doliczyć należy 57 milionów marek odsetków, płaconych od długu państwowego, zaciągniętego na wydatki militarne, i 73 miliony na cele militarne. Ogółem wydatki na utrzymanie armii od roku 1873 do 1998 włącznie (bez odsetków i pensyi) wynosiły — 12,257 milionów marek. Co do budżetu marynarki, przedstawiał się on w rozmiarach względnie skromnych do chwili wstąpienia na tron obecnego cesarza, od tego czasu wzrasta nader szybko: w roku 1888 wydatki na ten cel wynosiły 52 miliony, w roku 1898 — 120 milionów. Czy lud niemiecki podoła dalszemu podwyższaniu tych wydatków nie-

---

ci ojciec mój miał wielką racyę, gdy często powtarzał: jeżeli jesteś klejnotem, to schowaj się w głąb ziemi, a nie leż na drodze, bo cię rozdepcze każde mocne kopyto.

Król.

Nie będę męczył ręki dla takiego łotra. Nabroiłeś już za wiele. Pójdziesz na szubienicę.

Koko.

Chętnie zamienię ciebie na boga, który godzien będzie mojej pokory. Zresztą zapewne wkrótce się u niego zobaczymy.

Król.

Wkrótce?

Koko.

Alboż tobie, najukochańszy panie, wiele życia pozostało?

Blady król targnął się na sofie i zamilkł. Koko usiadł przy jego stopach i oparł głowę na ręce.

Król.

Czemuż nic nie mówisz?

Koko.

Robię rachunek sumienia przed śmiercią.

Król.

Bądź dobrym, ja ci przebaczę.

Koko.

Nie chcę przebaczenia.

Król.

No, nie gniewaj się. Jak ty mało mnie kochasz.

Koko.

Co ci tam, najczulszy panie, po mojej miłości. Od tego masz siedem ślicznych dam, które wsuwają się kolejno przez tych siedmioro drzwi. Zaraz tu przyjdzie ładna środa, która ciebie pocieszy, a na mnie ściągnie karę. Niedawno twoja dostojna małżonka złajała mnie, jak rajfura, za to, że ja wymyśliłem te skryte drzwi dla twoich przyjaciółek. Odpowiedziałem: na honor, to nie mój wynalazek! Ja bym co najwyżej radził mojemu słabowitemu panu, ażeby poprzestał na czworgu drzwiach i przyjmował jedną damę w każdej nowej lunacyi księżyca. Ale codzień nigdy! Pomimo to plunęła na mnie.

Król.

Kto mógł królowej o tem donieść?

Koko.

Że wie, tego jej nie biorę za złe, ale dlaczego pluje na mnie?

Król.

Zapomnij o tem, mój chłopcze. Nie powinszowałeś mi dotąd szczęśliwie odbytej kąpieli...

Koko.

Ha, ha, ha! Nie powinszowałem mu szczęśliwie odbytej kąpieli! Doprawdy jestem mu niepotrzebny, bo już sam może sobie mnie zastąpić.

Król.

Czyż nie składasz mi życzeń co rano?

Koko.

Ależ składam, składam, ile razy władca stu ziem i pięćdziesięciu milionów poddanych raczy pomyślnie przepłynąć wannę. Dziś jednak zaprzestaję cieszyć się każdym takim wypadkiem.

Król.

Dlaczego?

Koko.

Bo widzę, że mój najbledszy pan zaczyna uważać tę wannę za burzliwe morze, a mnie za kapłana, który powinien odśpiewać codzień hymn dziękczynny za ocalenie pana z rozbitego okrętu.

Król.

O, pójdziesz na szubienicę.

Koko.

Jeśli zechcę.

Król.

Zobaczymy.

Koko.

Tak, najsłabowitszy panie. Bo jeśli nie chcę, będziecie musieli mnie zanieść jak arcykapłana w procesyi.

Obaj zamilkli.

(C. d. n.).



produkcyjnych? czy świeca z dwóch końców zapalona nie spali się zbyt szybko?

Oczywistą jest rzeczą, że powtórzy się tu dawna historya: zbrojenia morskie w Niemczech wywołają nowe wysiłki w innych państwach, i w tym monstrualnym wyścigu na polu zbrojeń muszą w końcu wyczerpać się siły narodów europejskich.

Dr. J. B. Marchlewski.

Tydzień polityczny. Buller zrobił nową próbę przedostania się do Ladysmithu. Trwała ona od 5 do 7 b. m., zakończyła się tak, jak i dwie poprzednie: odwrotem za Tugelę. Straty urzędowe dochodzą do 400 zabitych i rannych. Na środkowym teatrze wojennym, przeciwko Oranii, dowództwo naczelne objął już sam Roberts; nowe dywizye tam właśnie skierował. Dotychczas, z wyjątkiem miejscowych zmian, przeważających faktyczne korzyści to na jedną, to na drugą stronę pod Kimberleyem, nad Modder-river, pod Rensburgiem i Colesbergiem, pod Maggerfontein — nie zaszło nic takiego, coby stosunek strategiczny stron zmienił. W przyszłym tygodniu spodziewać się można buletynów ważniejszych.

Sejm niemiecki ukończył już rozprawy ogólne nad flotą. Przyjęcie jest pewne. Pomnaża też i swoją flotę Francya, pomnaża i Anglia. Z mowy wszakże ministra wojny, Lansdownea, w d. 12 b. m. widać, że wzmocnienie się na lądzie będzie szybciej i dzielniej podjęte, aby z czasem doprowadzić Anglię do zupełnego dorównania Europie pod względem organizacyi wojska. Ochotnicy i milicya na bardzo już krótką tylko metę wystarczyć mogą: służba powszechna czeka wielkie mocarstwo „Greater Britain.“ Wielka polityka potrzebuje wielkich armij.

Na Europę skarżyć się Anglia nie może: wielkie mocarstwa odstępują jej swe działa, będące jeszcze w robocie. Neutralność pozwala zabierać nawet chleb dla Transwalu, ale nie przeszkadza dawać Anglikom artyleryi.

W sejmie pruskim po interpelacyi z d. 4 b. m. była nowa w d. 14 — ks. Jażdżewski wniósł skargi i oskarżenia. Minister spraw wewnętrznych, Rheinbaben, odpowiedział, że dopóki trwa demagogia polska, a Polacy nie przejmą się duchem pruskim, dopóty stosunki nie ulegną zmianie. Przyrzeczenie wzięcia pod uwagę faktów powołanych przez interpelanta — ma wartość śliny. Redaktora *Gazety Ostrowskiej* oskarżono o zbrodnię stanu.

Ces. Wilhelm naradzał się tajemniczo z posłem angielskim. Domyślają się to Transwalu, to przymierza, to wreszcie sprawy Egiptu i wogóle zapędów francuskich, które Delcasse w sejmie stwierdził słowami: „Nadeszła pora nie słów, ale czynów.“ Dotychczas dał właśnie — tylko słowa.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

OFICYALIŚCI.

I.

Sprawa, gorąco poruszona przez Adama Pługa w powieści jeszcze przed trzydziestu paru laty, nie przestaje być żywotną w całem znaczeniu. Ziemianie ciągle się skarżą na brak ludzi uzdolnionych i uczciwych, żywo się zajmują zabezpieczeniem ich przyszłości za pomocą powołanej już do życia instytucyi społecznej, narzekają na częstą zmianę pracowników, ale zapominają zupełnie o tem podłożu etycznem, które również jest niezbędnym warunkiem istnienia, jak i zapewnienie podstaw materyalnych. Od oficyalistów są wymagane jak najlepsze świadectwa, stwierdzające nietylko uzdolnienie fachowe, lecz zarazem i rękojmię moralną. Właściciele ziemscy w zamian za taką rękojmię nic nie dają i gdybyśmy np. na posiedzeniu sekcyi rolnej lub jakiegokolwiek Towarzystwa rolniczego zażądali obok biura stwierdzającego uczciwość oficyalistów, stworzenia takiegoż biura, w którem oficyaliści mogliby się dowiadywać o uczciwych, rzetelnych zarobkodawcach — niewątpliwie wniosek ten wywołałby gwałtowne oburzenie.

Liczne atoli i bardzo jaskrawe fakty świadczą, że takie postawienie kwestyi w życiu jest niezbędne. Na poparcie zaś tego przeświadczenia podamy przykłady, zaznaczone w świeżo wydanej broszurze *właściciela ziemskiego*, szlachcica z krwi, kości i tradycyi, p. Aleksandra Jelskiego („O sprawie oficyalistów gospodarskich“):

Pewien wysoce ukształcony agronom, „z najszlachetniejszem poczuciem,“ otrzymał od magnata propozycyę objęcia posady zarządzającego. Zarobkodawca przyjął swego „współpracownika“ z wyszukaną grzecznością (w mieście, zdala od dóbr), udzielił mu zaliczki i zwrócił koszt podróży. Tak dalece ujął człowieka uczciwego, że ten poprzestał na umowie ustnej. Po przybyciu na miejsce pracownik znalazł się w położeniu bez wyjścia. „Teraz nie dziwię się — pisze pokrzywdzony do p. Jelskiego — że magnat aż z tak daleka sprowadził sobie rządcę, bo tu z okolicy nikt u niego służyć nie chce, a kto go zna, nikogo mu rekomendować nie będzie... Na pierwszej audyencyi w mieście, kiedy się miała zawierać umowa, przyjęty byłem po pańsku, ale grzecznie, elegancko. Przy powitaniu podano mi jaśnie wielmożną dłoń, proszono siedzieć i poczęstowano cygarem, obiecywano wszelkie dogodności, pożegnano z galanteryą, więc byłem ujęty, co się zowie, za serce... Po przybyciu na miejsce oczy mi się rozwarły i serce zadrżało boleśnie na widok smutnej rzeczywistości; znalazłem się w pułapce. Co za różnica w traktowaniu! Ręki już się nie podaje, siedzieć nie prosi się, ton wyniosły...“ W dalszym ciągu pokrzywdzony podaje długi szereg prześladowań i szykan. „Gdym odebrał wiadomość o przyjeździe żony z dziećmi i nauczycielką, poprosiłem o konie do kolei. Jak żyję, nie widziałem człowieka w takiej pasyi. Wściekle się oburzył za „zuchwałą“ prośbę moją i zaledwie udało się wybłagać dwie małe, odrapane bryczki, choć w wozowni stało kilkadziesiąt różnych krytych powozów, a stajnia pełna koni i ludzi. Dzień był dżdżysty, wietrzny i zimny, odległość drogi kilkomilowa. Dzieci trzeba było trzymać na kolanach; żona niezdrowa, wycierpiała silny kaszel w tej podróży, a dzieci przeziębły i rozchorowały się.“

Następnie rozpoczęły się coraz gorsze prześladowania: Ogrodu na warzywa nie dano wcale i wzbroniono nawet ogrodnikowi sprzedaży warzywa dla rządcy. Rozmowa z „chlebodawcą“ niemożliwa: „Jeśli mu odpowiadam na pytanie, irytuje się, zwąc to przerywaniem i zaprzeczeniem, a gdy milczę, wpada w pasyę i woła z wyrzutem: „Dlaczego pan milczysz?“ Własnych słów, powiedzianych dnia poprzedniego, wypiera się i jak furyat krzyczy, że ja kłamię, ubliżam, żem bez wychowania itd. Jeślim siedział w kancelaryi przy papierach—napadał i wymyślał, że nigdzie nie chodzę i nic wiem, gdzie się co dzieje; znowu jeślim odbywał wycieczki koło gospodarstwa, to wrzeszczał, że tylko spaceruję. Dzieci bawiły się w zakątku odludnej alei, w ogrodzie — kazano je wypędzić; jednem słowem formalny szał prześladowczy go opanował. Zaciąłem zęby i milczałem... Cierpliwość wszakże i rezygnacya nie pomogły; dokuczył mi ów „Faraon,“ wreszcie wezwał do siebie, zwymyślał od ostatnich słów i wymówił miejsce... Błagałem go o sąd polubowny, ale on parsknął dzikim śmiechem i drwił z mej naiwności.“

P. Jelski dodaje od siebie, że ów gnębiciel zmarnował żywot wielu podwładnych i posiada cały lamus rzeczy „zagrabionych“ lub porzuconych przez uciekających od niego *w nocy!* Powołując się na inne podobne fakty, autor nazywa je objawem „smutnego atawizmu ducha.“ Może to nietylko atawizm, ale nawet obłęd. W każdym jednak razie szkoda wielka, że p. Jelski, który już nieraz wykazał swą bezstronność i wielką odwagę, nie wymienia nazwisk takich gnębicieli i „szaleńców.“ Oddałby tym sposobem wielkie usługi społeczeństwu, gdyż ostrzegłby liczne rzesze pracowników przed niebezpieczeństwem. Tacy zaś panowie „chlebodawcy,“ omijani starannie, musieliby w końcu z konieczności zejść na stanowisko *człowieka.*

Rozpatrując sprawę z punktu ekonomicznego, p. Jelski wydobywa znowu ze swojej teki zasobnej list pewnego oficyalisty, w którym między innymi znajdujemy takie wywody: „Częste narzekania naszych ziemian na brak fachowo wykształconych oficyalistów, wprowadzają w błąd ludzi nieświadomych rzeczy. Ziemianie wymagają od nas, współpracowników, gruntownego wykształcenia — racya — ale czy sami je posiedli?... Więc jakże mogą być bezstronnymi i fachowymi sędziami naszej kompetencyi?... Z drugiej strony sami oni tworzą oficyalistów nic niewartych, ladacych, dając im „dla odczepnego“ dobre świadectwa polecające... Wielu znowu dziedziców ocenia wartość oficyalisty jedynie wpływem na razie do kasy dużej gotówki, chociażby się to działo kosztem kardynalnych strat dla gospodarstwa; mianowicie: przez wyprzedaż karmu, inwentarzy, resztek lasu, przez opuszczenie budynków itp, dewastacye. Pomijanie zresztą ścisłej rachunkowości jest też powszechną wadą ziemian i fachowi w tej gałęzi pracownicy najmniej są poszukiwani, chociaż ci powinni byliby zająć stanowiska poczesne w warsztacie rolniczym. Nadto, w wyborze pomocników dziedzice kierują się zwykle fałszywie zrozumianą oszczędnością: wybierają sprzedających najtaniej swą pracę, bez względu często na umiejętność i zasady moralne.“

Zwykle ludzie familijni, którym się powierza zarząd znacznego majątku, pobierają mniej więcej 250 rubli i kilka beczek ordynaryi. Przytem wolno im trzymać dwie krowy. Mieszkanie tych pracowników „to prawie barłog, złożony z dwu cuchnących, nieopatrzonych, chłodnych izb, gdzieś w zaniedbanem ustroniu.“ Kawale-

rowie są uposażeni jeszcze skromniej. Słusznie tedy oficyalista utrzymuje, że na takie warunki może się zgodzić tylko szarlatan, albo niepoń.

„Panowie, wynagradzając licho — czytamy dalej w tym liście—nie uwzględniają potrzeb naszych, a obejście się ich z nami bywa nieraz gorsze, niżli z dawnymi poddanymi i zachodzi tylko ta różnica, że tamci nie rozumieli swego położenia, gdy my, dzięki Bogu, dotarliśmy do odczuwania godności człowieka."

Zarobkodawcy mogą powiedzieć, iż gospodarstwa nie mają środków na lepsze opłacanie pracy. Na to oficyalista odpowiada: „Jeżeli się płaci skąpo, nie należy wymagać wiele; a najlepiej — nabądźcie sami potrzebnego wykształcenia w zakresie gospodarstwa, aby módz obyć się bez takich współpracowników, jak my. Przeciwnie — tam gdzie zachodzi rozumna potrzeba przyjęcia fachowego oficyalisty, muszą się znaleźć środki odpowiednie na wynagrodzenie pracy jego. Poco tedy utyskiwać bezmyślnie, że ludzie ukształceni szukają ciągle popłatniejszych stanowisk, zamiast garnąć się do gospodarstwa? Czyż niema w tem winy samych właścicieli? Poprawcie los nasz, a wtedy wymagajcie umiejętnej czynności, uważając przedewszystkiem nas nie za sługi niewolne, obowiązane czapkować i całować rękawy chlebodawców, lecz za *współpracowników*, mających obok obowiązku spełniania wiernie służby, równe jak i oni duchowe i materyalne potrzeby i prawa w hierarchii społecznej. Przy takich warunkach bytu zwrócą się niezawodnie ku warsztatowi rolniczemu siły fachowe, nieposzlakowane i zrodzi się wspólność interesów, oparta na wzajemnym szacunku i wdzięczności zarówno chlebodawców jak i współpracowników."

Z RUCHU KOBIECEGO WE FRANCYI.

Ruch kobiecy we Francyi wzmógł się wielce w ostatnich trzech latach. Zdobycze polityczne i ekonomiczne, założenie wielkiego dziennika, poświęconego sprawie niewiast, oto objawy znamienne i poważne. O niektórych z nich donosiłem w *Prawdzie*. Obecnie chciałbym zwrócić uwagę na coraz bardziej wzmagający się prąd w kierunku oświaty i samopomocy wśród kobiet. Zabiegi o prawa polityczne i o ułatwienie zarobkowania nie pochłonęły w zupełności kobiet francuskich. Garnięcie się do nauki i do światła rośnie pośród nich stale.

Do Sorbony, szkół medycznych i innych wyższych zakładów naukowych wstępuje coraz więcej Francuzek. Za dowód niechaj posłużą cyfry. W roku 1893 było we Francyi 171 Francuzek pobierających nauki na uniwersytecie; z tych 16 słuchało wykładów medycyny, 141 filozofii, 7 przyrody. (Cudzoziemek było 172, z tych 149 na wydziale lekarskim). W roku 1899 cyfra ta wzrosła przeszło w dwójnasób. Wszystkich studentek Francuzek było już 359. Medycyny uczyło się 145 (cudzoziemek zaś 160): 87 w Paryżu, 6 w Bordeaux, 25 w Lille, 3 w Lyonie, 7 w Montpellier, 17 w Tuluzie. Na nauki przyrodnicze było zapisanych 38, na literaturę 149 (cudzoziemek tylko 39), na prawo 3 (dwie w Paryżu, jedna w Bordeaux), na wykłady farmacyi 56.

Cyfry te świadczą bardzo wymownie, że jeśli przez jakiś czas Francuzki korzystały mało z dopuszczenia do studyów uniwersyteckich, to za to w ostatnich latach napływ ich do uniwersytetów staje się coraz większym.

Instytucye zawodowe posiadają obecnie liczne zastępy słuchaczek należących do narodowości francuskiej. Nauczycielek ludowych jest teraz tyleż co nauczycieli. Wykaz statystyczny ogłoszony w „Bulletin administratif de l'instruction" (numer z dnia 23 grudnia 1899) dowodzi nawet większej pilności kobiet, niż mężczyzn. I tak ze stu mężczyzn, ubiegających się o patent nauczania elementarnego, otrzymało go tylko 81, z tyluż kobiet — 82. Wreszcie jeszcze różnica istnieje między kandydatami i kandydatkami o patenty nauczania wyższego. Ze stu mężczyzn otrzymało je 39, ze stu kobiet—61! Podobnie rzecz się ma z patentami dozorowania (inspektorstwa) szkół ludowych: otrzymało je 9,30 na stu mężczyzn, 30 na sto kobiet. W siedmiu innych działach egzaminowych wahania cyfr są mniej znaczne, ale prawie wszędzie przewaga jest po stronie nauczycielek.

Organizują się nadto liczne kobiece kółka samokształcenia. Od listopada 1898 roku „Towarzystwo feminizmu chrześciańskiego" zaczęło urządzać zebrania tygodniowe, na których są roztrząsane wszelkie zagadnienia, dotyczące kobiet. To samo Towarzystwo otworzyło kurs filozofii dla dziewcząt.

Inne stowarzyszenie, założone w roku 1898 pod nazwą „Francuska grupa studyów kobiecych," wzięła sobie za główny cel samokształcenie.

Do zabiegów około oświaty należy także urządzanie tak zwanych „konferencyj wersalskich" (Conférence de Versailles). Od dziesięciu lat zbiera się co roku w połowie czerwca liczne grono kobiet w dawnej siedzibie królewskiej i wówczas odbywają się wykłady dotyczące rozmaitych działów kwestyi kobiecej. Zwłaszcza rok 1898 zapisał się wyśmienicie w dziejach tej instytucyi.

Przeszło sześćset kobiet przybyło wówczas do Wersalu, a po mowie panny S. Monod nastąpiły odczyty. Pani Mallet traktowała o rodzinie i o wychowaniu dzieci, pani Abbadie nakreśliła żywot świeżo zmarłej Amerykanki, panny F. Willard, astronomka, panna Klumpke mówiła o kobietach pracujących w paryskiem obserwatoryum astronomicznem, pani Pégard o kobiecem Towarzystwie emigracyjnem. K. Schirmacher naszkicowała obraz ruchu kobiecego w Niemczech. Pani Vincent zdała sprawę z przebiegu kongresu w Brukseli r. 1897.

Potem pani Mauriceau traktowała o utworzeniu szkół rolniczych i ogrodniczych dla kobiet na podobieństwo tych, które istnieją w Anglii i Ameryce. „Jeśli społeczeństwo francuskie—brzmiały wnioski — chce mieć dobrych fermerów, może wychowywać i kształcić także pewną liczbę kobiet w tym kierunku."

Główny organ kobiecy, *Fronda*, poczynił zabiegi o założenie szkół gospodarczych dla kobiet. Przytoczę wypowiedziane w tej sprawie argumenty pani Ludwiki Debor:

„Uważam za zbyteczne — oświadcza — rozwodzić się długo nad koniecznością kształcenia kobiety w zakresie gospodarstwa domowego. Musi ona uczyć poważnie ze względu na swoje położenie w rodzinie i na zapotrzebowanie jej pracy z tej właśnie dziedziny przez społeczeństwo. Dotychczas nie mamy we Francyi instytucyi w rodzaju angielskiej „Szkoły narodowej kucharstwa," urządzonej tak wybornie, że dziewczyna, która ją skończy, posiada i dokładne pojęcie o hygienie gospodarczej i kuchennej i potrzebną umiejętność prowadzenia zarówno bogatego domu, w którym wydaje się na życie dwadzieścia do stu szylingów tygodniowo, jak uboższego, gdzie te wydatki stanowią siedem do dwudziestu szylingów. Szkoła owa bowiem odpowiada nietylko potrzebom warstw średnich, lecz i robotniczych. Czy mamy spodziewać się w tym względzie pomocy urzędowej? Może taki „gwóźdź" stworzą władze nasze bodaj na czas wystawy? Tymczasem jednak pożądana jest inicyatywa prywatna.

Niestrudzony „apostoł kuchni," p. Driessens, od kilku lat już urządza tu i owdzie teoretyczne i praktyczne wykłady dla dziewcząt. Dotyczą one jednak więcej klasy średniej.

Ale zarzuci mi ktoś: „Co? mamy uczyć dziewczęta z klasy robotniczej, jak pełnić powinności kuchenne i gospodarskie? Alež one od dzieciństwa mają do czynienia tylko z kuchnią i miotłą." Zapewne, lecz znajomość smacznego, zdrowego i taniego sporządzenia jadła nie jest wśród nich zbyt powszechną. Nawet najbieglejszym pomiędzy niemi przydałyby się wskazówki z hygieny, ekonomii i estetyki kuchennej. Sztuka kuchenna wydoskonaliła się dzisiaj, nauka przyszła jej z pomocą i odpowiednie wykłady mogą znakomicie uzupełnić to, czego dziewczyna nauczy się w domu."

Wywody te i rozprawy nie przeszły bez skutku. Jedna z bogatszych pań francuskich (nazwisko swe ukrywa na razie) założyła w r. 1899 dwie szkoły kucharskie dla warstw pracujących. Jedna znajduje się w siedemnastej dzielnicy Paryża, druga w przemysłowem mieście Montluçon w departamencie Alliery. Oto jak opisuje ona swoją szkółkę w Paryżu:

„Doprawdy przyjemnie widzieć te dziewczynki, gdy grupami po cztery, przypasawszy ładne czerwone fartuszki, zabierają się czy to do gotowania rosołu, czy do sporządzenia jakiego ciasta lub placka z jabłkami. Pan Gilbert, nauczyciel, układa im tablice cen mięsa, uczy je sporządzać obiady tanie i łatwe, takie, jakie wypadnie im gotować u siebie i jestem pewną, że matki naszych młodych przyjaciółek są nam wdzięczne za wpajanie ich córkom zamiłowania do tego zawodu gospodyni, który może być miłym, a nawet pociągającym, gdy umie się go sprawować. Pani i pan Driessens dowiedli, że można ugotować wyśmienity obiad w czarnem ubraniu lub w jasnym jedwabnym kaftaniczku."

O Montluçon pisze ta pani co następuje: Dwa razy tygodniowo podczas wakacyj, raz zaś w czasie szkolnym, kucharka, której poleciłam udzielanie nauki, wybiera z pośród dziewcząt w szkole św. Jakóba osiem, wszystkie w wieku 15—20 lat. Idą na targ, potem gotują same obiad na osiem osób, kosztujący w całości 2 franki (bez chleba i wina). Jedzą go razem w południe, zadowolone. Składa się on z jednej potrawy mięsnej, jak słonina z soczewicą, cielęcina z jarzyną, potrawka barania, i z czegoś słodkiego — ciastka z ryżu, placka ze śliwkami itd.

Dodaję zwykle do tych potraw tak zwane danie dla dziecka lub dla chorego, bo odwiedzając często robotników, zauważyłam, że gdy „malec" lub chory nie chce jeść kapuśniaku, który zmiatają wszyscy stołownicy, wnioskuje się, iż nie są głodni. W istocie lekką jakąś i pożywną potrawą nie pogardziliby, ale nikt nie umie jej przyrządzić. Doszłam już do tego rezultatu, że nasze uczennice, zachwycone, iż mogą sporządzić potrawę tak dobrą i niedrogą, próbują ugotować ją w domu, gdy tylko czas im pozwala. Rodzice są z tego bardzo zadowoleni, a myśl, że chcę z ich córek uczynić kucharki, rozchwiała się i ustąpiła przekonaniu, iż pragnę wykształcić je na dobre, zręczne i oszczędne gosposie, umiejące jak najlepiej skorzystać z każdego grosza i każdej drobnostki."

W Montluçon istnieje obok owej szkółki kucharskiej zakład (tak zwany „ouvroir"), gdzie dziewczęta uczą się szyć, naprawiać bieliznę i prasować. Zwrócona jest uwaga na to, ażeby starannie, ze smakiem, a nawet z wytwornością wykonywały te roboty, które w domu traktowałyby może niedbale.

Przykład czcigodnej nieznajomej i poruszenie danej sprawy w prasie wywarły skutek pomyślny. D. 8 października 1899 czytamy we *Frondzie* list kierowniczki szkoły w Carvin (Pas de Calais):

„Powołałam się na artykuły pani Debor o nauce gospodarstwa wśród klas pracujących i rada miejska Carvinu przyznała nam pięćset franków na stworzenie wykładów gospodarczo-kuchennych. Jest to skromny początek, ale i on ma swe znaczenie."

Uważam za stosowne wspomnieć tu także o zabiegach niewieścich z zakresu pedagogii. Pisma i stowarzyszenia kobiece wysunęły w ostatnich czasach na pierwszy plan dwa ważne zadania pedagogiczne. Pierwsze, popierane zwłaszcza przez zdolną powieściopisarkę, panią Marcelę Tineyre i przez panią Debor, dotyczy przyswajania kobiecie już w dzieciństwie umiejętności obchodzenia się z dziatwą. Panie te pragną, aby przy szkołach ludowych urządzano bądź żłobki, bądź ogródki, gdzie znajdowałyby schronienie niemowlęta i małe dzieci, liczące mniej, niż siedem lat, a których rodzice nie mogą być przy nich. Najstarsze i najrozsądniejsze dziewczynki w szkole poświęcałyby po kolei pewną ilość czasu temu drobiazgowi, każda miałaby pod opieką jedno lub więcej dziatwy. Gdyby urzeczywistnienie tego planu było połączone z pewnemi trudnościami (zwłaszcza o ile idzie o zmianę programu szkolnego), możnaby otworzyć jeden tylko zakład na każdą dzielnicę, a wówczas wysyłanoby do niego najstarsze dziewczęta z każdej szkoły ludowej w dzielnicy raz na tydzień lub nawet rzadziej. Wtedy nie ucierpiałby plan szkolny i uczennice miałyby korzyść rzeczywistą. Nauka ich w tym zakresie mogłaby się dzielić na praktyczną i teoretyczną. Praktycznie uczyłyby się pod kierownictwem nauczycielki pielęgnować, ubierać i bawić dzieci, z teoryi zaś należałoby im udzielić zasad hygieny, jako też psychologii dziecięcej.

Projektodawczynie powołują się na przykład Anglii, gdzie przy Kolegium wychowania gospodarczego dla kobiet otworzono ogródek dziecięcy. W Londynie także założono „bezpłatną szkołę zabaw." Dziatwa, niemająca w domu zabawek, przychodzi do miłej „szkoły," ilekroć zechce i znajduje w niej cacka, książki z obrazkami, fortepian. Czeka tu nadto grono dziewcząt z warstw średniej i wyższej i zajmuje się gwarliwymi przybyszami, jak zajęłaby się nimi gromadka matek.

Gdyby też nam się udało — pisze pani Debor — założyć w jakiejś ludnej a ubogiej dzielnicy podobny „Pałac dziatwy"! Wyobraźnia dziecięca uzupełniłaby sobie niejeden brak. My zaś dokonalibyśmy dzieła, popierwsze cennego pod względem społecznym, powtóre wysoce wychowawcze. Bo młode dziewczęta z warstw zamożnych skorzystałyby, tylko, opuszczając przynajmniej raz na tydzień swoją dzielnicę elegancką, aby odwiedzić strony, w których wegetuje tyle tysięcy stworzeń ludzkich. Ujrzałyby bolesne objawy nierówności społecznej i przekonałyby się, iż jest nędza istotna na świecie i że nie wymyślili jej tylko pisarze książek dla dziatwy i dla panien dorastających. Pozbywałyby się w ten sposób nieświadomości i egoizmu i kształciłyby się na przyszłe matki i obywatelki.

Drugą sprawą jest wprowadzenie na dużą skalę gimnastyki do szkół średnich i niższych. Jedno z najruchliwszych stowarzyszeń, „Liga francuska dla spraw kobiecych" (Ligue française pour le droit des femmes), poświęciła prawie całe swe posiedzenie miesięczne z 5 grudnia tym zagadnieniom. Na zebraniu tem pani Dubien oznajmiła, że stworzony świeżo „Patronat świecki" w czternastej dzielnicy Paryża urządził szkółkę macierzyńską, odpowiadającą mniej więcej pragnieniom kobiet francuskich. Dwie lekarki wykładają tam kilkunastu dziewczętom (mogą także przysłuchiwać się matki) główne zasady hygieny, dotyczące ubrania, pokarmu itd. Zarazem przygotowują je do przyszłych obowiązków macierzyństwa.

Dodam tu, że w Finlandyi pielęgnowanie dzieci należy oddawna do nadobowiązkowych przedmiotów w niższych szkołach żeńskich.

W. Bugiel.



LIBERUM VETO.

Smutna literatura.

Stary a często wszczynany spór o to, czy sztuka ma własne swoje cele, czy też służy zewnętrznym, czy ona istnieje dla siebie, czy dla przyczepianych do niej dążeń — zwykle rozstrzygany bywa sposobem praktyczno - polubownym: sędziowie mówią do poważnionych stron: wy twórzcie sztukę dla sztuki a wy — dla tendencyi. Pomimo że taka gospodarska rada niewątpliwie najskuteczniej uśmierza chwilowo kłótnie, nie zapobiega wszakże ich wznawianiu. Każdy bowiem czuje lub rozumie, że nie ma dwu sztuk, tylko jedna i że istota jej powinna być jasno określoną. Nie kuszę się o rozcięcie tego węzła, na którym prawdopodobnie długo jeszcze tępić się będą ostre miecze; ale pragnę zwrócić uwagę na jeden jego splot, który obwija i ściska inne. Uprzedzam przytem, że będę miał na myśli wyłącznie sztukę w literaturze, gdyż ona jest najwierniejszem zwierciadłem współczesnych stanów i nastrojów życia. Quetelet usiłował dowieść, że wola jednostek uwarunkowana jest pewnemi koniecznościami społecznemi, nadającemi jej kierunek i że poznawszy te „prawa," odbijające się szczególnie w statystyce, można dość ściśle przepowiedzieć ilość i jakość objawów — np. liczbę małżeństw i samobójstw. Szczerze mówiąc, nikt takich praw nie zbadał i nikt takich przepowiedni nie zrobił, a w zdaniu Queteleta tkwi conajmniej tyle przechwałki, ile prawdy. Ale prawda w niem jest. Mianowicie przyznać trzeba, że każdy człowiek, mimo swej złudnej swobody, jest zależnym od natury otoczenia społecznego nietylko w swej woli, ale nawet w tych dziedzinach życia, które pozornie nie podlegają żadnym ograniczeniom — w rozumie i wyobraźni. Nam się zdaje, że możemy tak chcieć, tak myśleć, a przedewszystkiem tak rozbujać imaginacyę, jak się komu podoba. Jest to złudzenie. Tak bowiem chcemy, myślimy i marzymy tylko w danem miejscu i czasie; znalazłszy się gdzieindziej i kiedyindziej, nasza wola, rozum i wyobraźnia szłyby innymi szlakami. Z otoczeniem społecznem wiążą nas niezliczone i zwykle niedostrzegalne nici, które określają kierunek ruchom duszy naszej. Locke twierdził, że niema nic w umyśle ludzkim, coby nie przeszło przez zmysły. Zdanie to, pojęte z zastrzeżeniem, którem je opatrzyła późniejsza psychologia, wyraża istotny stosunek naszych władz duchowych do warunków życia. Każdy z nas, a więc również artysta lub myśliciel, jest rodzajem fonografu, który utrwala przenikające do jego wnętrza głosy życia i odtwarza je pod działaniem przyczyn, wprawiających w drganie jego duszę. Tylko zdolność przekształcania i łączenia tych tonów jest naszą własnością. O tem nikt nie wątpi, że gdyby Słowacki urodził się był w Anglii, pisałby jak Shelley lub Byron, ale i o tem wątpić nie należy, że gdyby w tejże Anglii narodzili się Trentowski, Libelt i Supiński, ich filozofia i teorya gospodarstwa społecznego brzmiałyby całkiem inaczej. My wszyscy jesteśmy do pewnego stopnia instrumentami, na których życie wygrywa takie melodye, jakie mu w danym czasie i miejscu są potrzebne. Czy z tego faktu, który już dość dawno został dostrzeżony, nie wypływa wniosek, rozstrzygający sprawę celowości i bezcelowości sztuki? Bo zważmy, jeśli umysły, rodzące literaturę, pracują w zależności od warunków zewnętrznych, które jej płodom nadają określony charakter; jeżeli nie wiedząc lub nie uświadamiając sobie tego, w naszych pragnieniach, rozumowaniach i pomysłach ulegamy sile wpływów otoczenia społecznego, to chociażby nasze dzieła szczególowo oceniane nie posiadały jakiejś wyraźnej dążności, wzięte ogółem spełniają—że tak powiem—wolę życia, jego czasowe i miejscowe zamiary. To znaczy, mówiąc językiem zwyczajnym: niema i nie może być innej literatury, tylko tendencyjna. Poecie, który maluje w sonetach wspaniałe widoki natury, powieściopisarzowi, który rozsnuwa wątki psychologiczne lub wskrzesza postacie dziejowe, epikom, lirykom, twórcom obrazów historycznych zdaje się, że oni płodzą „sztukę dla sztuki," że ich założenia są czysto artystyczne, że nie służą żadnej dążności społecznej: a to jest iluzya kury, która wysiadując jaja, sądzi, że dogadza jedynie własnej przyjemności, nie rozkazowi przyrody i rachubie człowieka. Kropla wody, tocząca się z całym nurtem rzeki, gdyby posiadała świadomość, mniemałaby również, że płynie według swej woli, a tymczasem ją porywa i niesie fala. Podobnie sądzimy i my. Jeden wierzy, iż nie mu nie podyktowało jego powieści obyczajowej, drugi, że samodzielnie wybrał sobie temat do dramatu z życia Serbów, trzeci, że niezależnie od wszelkiej tendencyi odmalował w sonecie zachód słońca, każdy czuje się nieograniczonym władcą swych myśli i uczuć, a niektórzy nawet wyprzysięgają się uroczyście jakichkolwiek celów po za „czystą sztuką"— dzieci, którym się zdaje, że ssą pierś matki tylko dla przyjemności.

Nie jest to dziełem przypadku, że w beletrystyce europejskiej zapanował obecnie smutek. Rozlewa on się po satyrze, powieści, dramacie, liryce—wszędzie. Humor, wesołość, jasne poglądy, nie rosną bujnie na szerokich łanach, lecz hodowane są sztucznie jak pokojowe kwiaty w doniczkach. Trudno byłoby dziś znaleźć w piśmiennictwie powszechnem utwór znakomity, z którego tryskałby zdrój szczerej radości i zadowolonego smaku życia. Wszędzie nastroje chmurne, posępne, zgryźliwe, wszędzie skłonność do przędzy dramatycznej, do osłaniania cierpień i rozgłaszania rozpaczących żalów. Skąd to pochodzi? Czy jest to kaprys, dziwaczny gust umysłów twórczych i badawczych? Czy im bez żadnej przyczyny tak zachciało się pisać? Czy one mogłyby również pisać inaczej—pogodnie i wesoło? Nie. One tak pisać muszą, bo tak im każe życie. Twórczość literacka, nie zdając sobie z tego sprawy przyjęła bardzo czynny, energiczny i potężny udział w krytycznej robocie czasu, która jest głównem zajęciem naszej epoki. Wszystkie nauki teoretyczne, a jeszcze bardziej praktyczne z wielkiem natężeniem i pośpiechem pracują nad przekształceniem pojęć, zasad, stosunków i organizacyj życiowych, wszystkie niezmordowanie zajęte są wy-

kazywaniem błędów, nadużyć, nieprawidłowości, wszystkie dokonywują ścisłej rewizyi starego inwentarza cywilizacyi, układaniem nowych planów i przygotowywaniem nowych materyałów. Niewiele możnaby znaleźć w historyi okresów, w którychby tyle myślano, mówiono, pisano i działano w przedmiocie szczęścia ludzkiego, rzadko kiedy były w tak gorączkowym ruchu siekiery, piły, noże, heble i szpadle krytyki. Zdaje się, jak gdyby ludzkość rozbierała stary i budowała sobie nowy dom. Literatura piękna pozornie stoi po za granicami tych warsztatów krytyczno-reformatorskiej myśli. Powtarza ona ciągle, że uprawia „sztukę dla sztuki,“ że nie troszczy się o cele praktyczne, że stawia sobie niezależnie od nich ideały, że wyłącznem jej zadaniem jest artyzm. W rzeczywistości zaś czyni to samo, co współczesna jej wiedza i działalność praktyczna, tylko odmiennym sposobem. Nie wchodzi na trybunę lub katedrę, nie uczy, nie wykłada, nie dowodzi, lecz opisuje, opiewa, przedstawia takie wypadki i obrazy życia, których sam widok zwraca myśli i uczucia w kierunku ogólnych dążeń czasu. Cóż może być sprzeczniejszego, niż socyolog i dekadentyczny poeta, polityk i powieściopisarz, Waldeck-Rousseau i Baudelaire, Gladstone i Ruskin, Giżycki i Konopnicka, Höffding i Tołstoj! A jednak pracują oni w tych samych winnicach: bodną różnoimienne i różnobarwne grona, kładą je w rozmaite kosze i wytłaczają z nich odmienne soki — ale wyrabiają wino swego gruntu i swego czasu. Smutek poczyi jest krytyką nauki: on także odsłania zło i wskazuje dobro, on także potępionej rzeczywistości przeciwstawia błogosławiony ideał.

Mamy tu błędne koło: smutna literatura poi goryczą czytelników, którzy znowu rodzą niezadowolonych pisarzów. Nie należy wszakże przypuszczać, że jakaś wolna wola mogłaby złamać to hasło i zastąpić je innem. Ktoś, przeczytawszy setkę powieści, przepełnionych scenami bólu, melodii, krwawych starć i rozpaczliwych położeń, gotów zapytać: dlaczego autorowie wybrali do swych opowiadań tak okropne, drażniące i przygnębiające pomysły? Przecież to są zmyślenia, czemuż więc nie zmyślać wesoło, nie snuć wątków, rozwiązujących się zadawalająco? Otóż właśnie że oni tego uczynić nie mogą, że nie oni dowolnie wybierają sobie pomysły do swych utworów, lecz im podsuwa je niepostrzeżenie życie, że twórczość artystyczna podlega również determinizmowi. W epoce krytycyzmu literatura piękna musi być smutną.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Oswald Külpe: *O zasadach i kierunkach filozofii*, tomów dwa. — E. Mach: *Odczyty popularno-naukowe*, z niemieckiego przełożył Stanisław Kramsztyk. — W. K. Clifford: *Szkice filozoficzne* — Immanuel Kant: *Marzenia jasnowidzącego objaśnione przez marzenia metafizyki*

Zgodnie z określeniem, ustalonem w piśmiennictwie polskiem od daty wyjścia Struvego „Wstępu krytycznego,“ filozofia, jako nauka badająca ogólne zasady wiedzy, dąży, z istoty swojej, do wytworzenia jednolitego, sprzeczności pozbawionego czyli systematycznego poglądu na świat, „o ile—naturalnie — jest to możliwem przy pomocy krytycznego poznania rzeczy.“ Oswald Külpe, którego dzieło „Einleitung in die Philosophie,“ dwukrotnie od r. 1895 wydane w Niemczech, pozyskało zagranicą pewien rozgłos — nie różni się wcale od zasadniczego pod tym względem poglądu Struvego, chociaż pisarz niemiecki przedmiot traktuje bez porównania pobieżniej, niemal sumarycznie, a pod względem erudycyjnym skąpo i ubogo. „Głównym celem filozofii nowoczesnej — powiada Külpe — jest racyonalne pogodzenie wiary z wiedzą przy pomocy metafizyki, zbudowanej na podstawach naukowych środkami naukowymi“; zadanie zaś tak zbudowanej metafizyki, po oddzieleniu od niej nauki o zasadach poznania, jako odrębnej teoryi poznania, polega „na usiłowaniu, zmierzającem do utworzenia jednorodnego poglądu na świat“ (I, 4, 20). Nie objaśnia Külpe ani skąd się w człowieku bierze dążność do owej jednolitości i jednorodności, ani co nam po niej; dziełko jego zajęte jest wyłącznie wykazywaniem, jak trudno nauce zdobyć się na podobną zgodność i jednomyślność w poglądach. Przykłady, jakie na poparcie dowodzeń swych podaje, są w istocie przekonywające i charakterystyczne. Oto dwaj najwięksi metafizycy nowocześni: Spinoza i Lotze. „Spinoza przedstawia się nam jako zwolennik syngularyzmu, monizmu, mechanizmu, panteizmu, determinizmu, intelektualizmu i aktualizmu; ze względu zaś na teoryę poznania uważać go trzeba za racyonalistę, dogmatyka i realistę; etyka jego należy do kierunku autonomicznego, objektywnego i waha się między etyką uczuciową i refleksyjną.“ Nawzajem Lotze „jest przedstawicielem bardzo umiarkowanego syngularyzmu, spirytualizmu, teleologizmu, teizmu, indeterminizmu i substancyonalizmu; w poglądach na teoryę poznania jest krytycystą i realistą, w etyce — zwolennikiem autonomizmu, intuicyonizmu, altruizmu i eudaimonizmu“ (II, 6, 10). Wszystkie te *izmy* Külpe tłomaczy nader sumiennie, ze ścisłością encyklopedyi podręcznej, sam wszakże nie oświadcza się stanowczo za żadnym. Z pisarzy ostatniej doby najbliżej mu, jak się zdaje, trafia do przekonania krytycyzm Langego. Materyalistów Külpe traktuje z góry. „Jest rzeczą oddawna wiadomą, nie ulegającą najmniejszej wątpliwości (powiada), że to, co nazywamy psychicznem, posiada zupełnie... albo przynajmniej przeważnie odmienne cechy od tego, co jest fizycznem; cóż więc ma znaczyć ukaz, dekretujący, że zjawiska psychiczne są procesami materyalnemi?“ (II, 17). Dualizmu Descartes'a autor broni z żywością nie zapowiedzianą we wstępie. „Dualizm — pisze — nietylko tłomaczy faktyczną różnorodność duszy i ciała, lecz także zachodzącą między niemi a stwierdzoną doświadczeniem zależność; odpowiada on zarazem tendencyi współczesnej biologii, zmierzającej do usunięcia jednostronnego mechanizmu w pojmowaniu zjawisk rzeczowych, który okazał się niezdolnym do ich wyjaśnienia; niemniej zgadza się dualizm z teoryą poznania, wedle której pełne doświadczenie składa się z czynników zarazem podmiotowych i przedmiotowych.“ Zarzut czyniony dualizmowi, że „nie zaspakaja tkwiącej w umyśle ludzkim potrzeby jednolitego tłomaczenia świata,“ Külpe odpiera twierdzeniem, że „jednolitości domaga się nasz umysł jedynie o tyle, o ile pragnie wszystkie zjawiska ze sobą powiązać, nie zaś w tem znaczeniu, jakoby chciał wszystko sprowadzić do jednego jedynego pierwiastku; trzeźwe badania metafizyczne nie mogą mieć na celu usunięcia mnogości i różnorodności zjawisk, lecz jedyne stworzenia nieprzerwanego ich związku“ (II, 44—46). Dziełko, starannie spolszczone pod kierunkiem dr. Kazimierza Twardowskiego, prof. uniw. lwowskiego, zadość czyni potrzebie średniego wykształcenia szkolnego.

Dwa tłomaczone zbiorki rozpraw i szkiców Clifforda i Macha, obracają się dokoła głębszych i o wiele zawilszych zagadnień filozoficznych — u Clifforda przeważnie logicznych, u Macha przyrodoznawczych. W pierwszym odczycie Macha, wygłoszonym na uroczystem posiedzeniu wiedeńskiej akademii nauk 25 maja 1882 p. t. „Ekonomiczny charakter badań przyrodniczych,“ zagadkowy na pierwszy rzut oka przymiotnik „ekonomiczny“ otrzymuje zaraz na początku należyte uwydatnienie w określeniu, że to, „co nazywamy nauką, ma jedynie na celu oszczędzenie doświadczenia jednego człowieka przez doświadczenie drugiego.“ Myślenie, ściśle związane z mową — to poszukiwanie prawdy drogą najkrótszą, wymagającą najmniej zachodu i pracy. Jak druk zaoszczędza powtarzanie pisma, jak z niewielu dźwięków układają się najrozmaitsze melodye, tak też i mowa nasza układa — niby w mozaice — zaskrzepłe obrazy życia potocznego, utrwala z nich rzeczy najważniejsze, a pomija obojętne, „z poświęceniem wprawdzie fotograficznej ścisłości i wierności, natomiast wszakże z oszczędnością środków i trudu“ (s. 12). Bez porównania mglistszym jest drugi tegoż uczonego odczyt przy objęciu rektoratu uniwersytetu w Pradze z r. 1883 o przeobrażaniu i przystosowywaniu w myśleniu przyrodniczem — odczyt parafrazujący, w terminach ogólnikowych i oderwanych, niektóre założenia teoryi Darwina i Spencera w zastosowaniu do rozwoju wiedzy i jej wpływu na życie: „myśli nie są życiem całkowitem, są one tylko ulotnym a jasnym kwiatem, przeznaczonym dla rozświetlania dróg woli, przeobrażeń wszakże, jakie pod ich działaniem na sobie dostrzegamy, nie zdoła nam zaprzeczyć żadna teorya — fakt ten nie potrzebuje dowodu, jest on dla nas bezpośrednio pewnym“ (65). Referat Macha, wygłoszony na zgromadzeniu przyrodników w Wiedniu 1894 r. o zasadzie porównywania w fizyce i zagajenie z r. 1895 przy objęciu katedry historyi i teoryi nauk indukcyjnych na uniwersytecie wiedeńskim o wpływie okoliczności przypadkowych na rozwój odkryć i wynalazków, wiążą się z sobą na podstawie tej myśli zasadniczej wspólnej, że wszelkie zjawisko nowe ująć jesteśmy zdolni jedynie na tle wyobrażeń starych, już nabytych. „Pamięć zawsze jest gotowa do nasuwania takich faktów znanych dla zestawienia ich z faktami nieznanymi, które są do nich podobne, czyli pewnemi cechami z niemi zgodne, zestawienie zaś to umożebnia sąd elementarny“ (75). Odkrycie, wynalazek, w najprostszem znaczeniu wyrazu nie jest czem innem, tylko pewną kombinacyą, pewną syntezą wiadomości nabytych poprzednio: „Silnie rozwinięta lub żywo podniecona pamięć wystarcza, aby módz uniknąć jakiegoś szczególnego niebezpieczeństwa lub skorzystać z jakiejś okoliczności szczególnej — tego jednak nie dość jeszcze do rozwinięcia wynalazku. Trzeba do tego dłuższych szeregów wyobrażeń, wzajemnego pobudzania się rozmaitych przypomnień, silniejszej i różnorodnej łączności wszystkiego materyału złożonego w umyśle — słowem potężniejszego i wrażliwszego życia psychicznego...“ Traf jest jak ziarno rzucone na wiatr; gleba, na którą ono padnie, urodzi coś z niego dopiero wtedy, gdy nie jest skamieniałą, im zaś bogatszy jest grunt postrzeżeń i doświadczeń, nagromadzonych i ustalonych w umyśle, „tem płodniejszą stać się może obserwacya przypadkowa...“ „Kto nawet od wrażeń zmysłowych oderwany, własnym tylko myślom oddaje się poważniej i wytrwalej, łatwo napotkać może wyobrażenie, które całe jego myślenie wprowadzi na nowe tory“ (113—119). Doskonale do tych wywodów Macha pasują główniejsze poglądy Clifforda, zawarte w trzech studyach: o niektórych warunkach rozwoju umysłowego (treściwe zastosowanie idei ewolucyi do działalności np. publicystycznej), o filozofii nauk czystych (zagadnienia z dziedziny pozadoświadczalnej) i o celach myślenia naukowego — roz-

prawa z tejże dziedziny co i „ekonomika“ podobieństw Macha. „Gdy poeta widzi, że ma poruszyć świat obcy, nowy, nietknięty przez jego poprzedników. i gdy pomimo to pożycza ognia z *ich* błyskawic, oręża z ich zbrojowni, szuka poparcia w śladach ich stóp — wówczas proceder, z którego pomocą stosuje stare doświadczenie do nowych okoliczności, nie jest niczem innem tylko myśleniem naukowem. Gdy moralista, zbadawszy warunki społeczne i idee dobrego i złego przekazane nam z czasów, kiedy powodzenie wojenne było jedyną szansą pozostania przy życiu — wywodzi stąd warunki i idee, towarzyszące powodzeniu narodowemu podczas pokoju, w pożyciu ludów wolnych i równych, wówczas przewód logiczny, którym się moralista posługuje, nie jest również czem innem tylko rozumowaniem naukowem“ (114). Dorywczo zapiszmy tu jeszcze elegancki aforyzm Clifforda: „Raz przyjęte tryby myślenia i prawidła postępowania, raz pozyskane i utrwalone przymioty charakteru, mogą pozyskać taką jednostronną przewagę i władzę, iż są zdolne uniemożliwić postęp, skazać naród na pochód wsteczny“ (134).

Sprawa myślenia naukowego, poruszona przez Clifforda przeskakuje w broszurze Kanta z r. 1766 o jasnowidztwie, na przeciwległy kraniec: na myślenie nienaukowe. Rozległa to, wielce można dziedzina! Wobec nienaukowości — naukowość jest zaledwie jako wątły strumyk wobec zatoki morskiej, do której wpada i w której ginie. Różnicę jakości dowcipnie wytknął Clifford. Przypuśćcie — powiada — że w nocy przed wyjazdem z Warszawy do Piotrkowa śniło się wam, iż lokomotywa przestraszyła się stada owiec i górą poprzez wagony skoczyła w tył, skutkiem czego oderwała się wam głowa. którą włożyć musieliście do pudła od kapeluszy i odwieźć z powrotem do naprawy... Świetny to już będzie odsetek naukowego myślenia mieszkańców syreniego grodu, jeżeli po takim śnie, znajdzie się jeden na dwudziestu, co się w podróż puści: reszta, nie wahając się najniechybniej usłucha następującej rady myślenia nienaukowego: „doświadczenie z koleją fantastyczną zdobyte we śnie, to jest wówczas gdy nie posiadaliście zdrowego rozsądku, weźcie sobie za przewodnika na jawie, to jest wtedy, gdy zdrowy rozsądek jest przy was i do czynienia macie z koleją rzeczywistą...“ Za Kanta nieznano jeszcze kolei żelaznych; doświadczeń jednak z kolejami fantastycznemi robiono nie mniej, niż w lat sto po wyjściu „Krytyki czystego rozumu“ — z proroctwami okuć okiennicznych i domyślnością nóżek stołowych. Żył wtedy i niezwykłym rozgłosem się cieszył niejaki Swedenborg, mistyk, praojciec tegoczesnych eksperymentów spirytystycznych. Odbywał on codzień podróże nadprzyrodzone, zwiedzał krainy pozagrobowe i skrupulatnie zapisywał wszystkie swe rozmowy z duchami tamtego świata. Złożyło to osiem grubych tomów in 4-o p. t. „Arcana coelestia“ — dzieło, które w drugiej połowie wieku XVIII, równolegle z rewolucyą, ateizmem i racyonalizmem encyklopedystów francuskich, miało większe jeszcze powodzenie, niżli w wieku XIX pisma Dumasa ojca i syna. Widząc szerzącą się powódź marzycielstwa i ogłupieniu, przyjaciele Kanta namawiali go do wystąpienia przeciwko Swedenborgowi. Ale na razie mędrzec królewiecki nie dał się nakłonić: wiedział on dobrze, że o ile lada pacholę wykryć zdoła uncyę nawet błędu w tuntach myślenia logicznego i naukowego, o tyle największy geniusz nie potrafi wykazać cetnara omylności w jednym tylko łucie myślenia nienaukowego i nielogicznego. Kiedy jednak filozof uległ nareszcie natarczywości swych zwolenników i uczniów — doznano pewnego rozczarowania: w broszurze Kanta znaleziono zaledwie parę kartek, poświęconych streszczeniu doktryny Swedenborga (str. 70—80 polsk. przekładu). Reszta poświęconą była uwagom nad szeregiem całkiem innych. od Swedenborgowego majaczenia niebezpieczniejszych polotów ludzkiego poznania... — na księżyc Ariosta...

Czytelnik z końca wieku XVIII, nie mniej jak i dzisiejszy — pochłonięty wojennemi doświadczeniami Boerów, których góry, rzeki, przeprawy zna obecnie lepiej i dokładniej, niżli ekonomiczne niedołęztwo własnego kraju, zaprzątnięty nadto dziennikarską chwalbą szumnych, niespożytych tryumfów karnawałowych, które mu na post wielki przygotują nową jakąś kwestyę mięsną, węglową lub zbożową — czytelnik dzisiejszy nigdy zapewne nie miał czasu na dowiedzenie się, gdzie jest i czem jest naprawdę ów księżyc Ariosta... Owoż, czytamy u Kanta: „Ariosto opowiada, iż wszystkie rzeczy zgubione na ziemi odnajdują się na księżycu, a w tej liczbie i rozum zgubiony: odnajduje się on tam w szczelnie zakorkowanych buteleczkach..... Jeżeli wielu publicystów i pisarzy tegoczesnych ogromne oklaski pozyskali za to, że przy opracowywaniu swych dzieł i artykułów nie dbali o wydatek własnego rozumu — zaszczyt ten należy się Swedenborgowi niezaprzeczenie w najwyższym stopniu. Niewątpliwie bowiem jego butelka w świecie księżycowym jest pełna i nie ustępuje żadnej z tych, które Ariosto widział tam napełnione straconym na ziemi rozumem...“

Jak wiadomo, księżyc zawsze nieco jaśniej świecił u nas, niż gdzieindziej — a to z powodu głębokiej i niepokonanej wiary w sny, przeczucia, kabały, loterye — i legiony całe widm opiekuńczych, zwiastujących niezmącenie szczęśliwą przyszłość za darmo. Ktokolwiek zatem u nas pisze lub pisać zamierza — w kilkuwierszowej recenzyi, czy w foljałowem rozwinięciu — o filozofii, rozumie, myśleniu naukowem, metodzie doświadczalnej itp., powinien zawczasu uzbroić się w pewność, którą Kant umieścił w przedmowie do swej rozprawy o jasnowidztwie zabobonnie owczarskiem i metafizycznem: „książka moja powinna zupełnie zadowolić czytelnika, gdyż nie zrozumie on tego, co w niej najważniejsze, innym rzeczom nie da wiary, a resztę wyśmieje...“

J. T. H.

NOTATKI NAUKOWE.

Lipps Th.: *Die ethischen Grundfragen.* 1899. M. 5.

Jest to szereg wykładów o zasadniczych kwestyach etyki, wypowiedzianych w monachijskim uniwersytecie ludowym. I) Egoizm i altruizm. III) Posłuszeństwo i wolność moralna (autonomia i heteronomia). VI) Sumienie. VII) System celów. VIII) Organizmy społeczne. IX) Wolność woli i determinizm. — Autor jest wyznawcą Kanta.

Ziegler Th., prof.: *Die geistigen und socialen Strömungen des XIX Jahrhundert in Deutschland.* Berlin, 1899, str. 714. M. 10.

Znany i ceniony filozof niemiecki, autor doskonałych dziejów etyki, przedsięwziął w ogromnem wydawnictwie Bondiego, *Das XIX Jahrhundert in Deutschlands Entwickelung*, napisanie zarysu głównych prądów rozwoju duchowego i społecznego Niemiec w XIX stuleciu. Widnokrąg poglądów dość szeroki, jakkolwiek nie wolny od czci dla Bismarka. Znaczne uwzględnienie najnowszych kierunków życia i teoryj społecznych i literackich (rozdz. XIV: Fin de Siecle, str. 523—687). Mówi o następujących przedmiotach: Stanowisko polityczne Niemiec. Antysemityzm Agraryusze. Kwestya kobieca. Powrót indywidualizmu. Stirner. Anarchizm. Nietzsche i jego wpływ. Reforma szkolna. Nauka. Sztuka i poezya. Sudermann i Hauptmann. Dzieło ozdobione 13 portretami. Zasługuje na uwagę czytelnika. — Przy tej sposobności zaznaczamy, że w zbiorze monografij, wymienionym wyżej, ukazały się jeszcze następujące ważniejsze dzieła: Prof. Günther: „Historya przyrodoznawstwa,“ prof. Reuleaux: „Dzieje techniki,“ prof. Gurlitt: „Historya sztuki plastycznej,“ Schlenther: „Historya teatru,“ Welti: „Historya muzyki“ — itd.



ZMARTWYCHWSTANIE,

ostatnia powieść Leona Tołstoja.

II.

Książę Dymitr Niechludow, jakim go znów widzimy w „Zmartwychwstaniu,“ niewiele się zmienił. Pozostała ta sama miękka, szczera, wrażliwa i refleksyjna natura. Tak samo zajęty jest w dalszym ciągu analizowaniem swych stanów wewnętrznych i sprawami sumienia, czułego na krzywdę ludzką. Zachował nawet wiarę młodzieńczą w możliwość rozpoczęcia w każdej chwili nowego życia, pewien odruch gotowości, nabyty za młodu, do natychmiastowego wprowadzenia w czyn tego, co uważa za dobre. Dowiadujemy się, że jeszcze na ławie uniwersyteckiej, pod wpływem teoryi Spencera i H. George'a przychodzi do przekonania, iż własność ziemska jest niesprawiedliwością społeczną i przejęty tą myślą — ponieważ sam jest ziemianinem — czyni z niej praktyczną sprawę własnego sumienia i zrzeka się na korzyść włościan prawa do majątku, odziedziczonego po ojcu. Widzimy dalej, jak podczas wakacyj, spędzanych na wsi, dusza jego otwiera się dla życia, jak marzy o życiu dobrem i czystem, wierzy w potrzebę i możliwość doskonalenia się bez granic. Widzimy, jak w sercu jego rozkwita czysty, nieskalany żadną namiętnością, rachubą lub przesądem — kwiat miłości do kobiety, który pozostał dla Niechludowa na zawsze najsłodszem wspomnieniem, jako cząstka owej szczęśliwej epoki. kiedy świat był piękny, ludzie dokoła dobrzy a sumienie czyste.

Wszystkie te wiadomości nie dodają nam nic nowego do tego, co już o Niechludowie wiemy, to też autor wplata je do swej powieści w postaci wspomnień jako wskazówki do zrozumienia pobudek i czynów bohatera. Istotnie, wskazówki te są niezbędne. Bo jeżeli *natura* Niechludowa pozostała w gruncie rzeczy ta sama, to jednak życie zmieniło go do niepoznania. Świat ludzi sytych, zadowolonych, otoczonych przepychem kultury zewnętrznej, do którego dzięki swemu stanowisku, pochodzeniu i wykształceniu należy i którego wpływom podlega, wycisnął na nim swe piętno. Wszystko w tym świecie jest proste, jasne, określone, ujęte w pewne normy, niepozostawiające miejsca dla żadnych wątpliwości. Na wszystko jest gotowa formuła: „Tak czynią wszyscy.“ Wszelka działalność jednostki ogranicza się do spraw wyłącznie egoistycznych, stosunek jej bowiem do reszty świata i ludzi określa się przez obyczaj, tradycyę, prawo, państwo, przez formułę wreszcie: „Tak wszyscy,“ która doprowadza czynność żywego sumienia do zupełnego zaniku.

W tym świecie N. przeszedł wszystkie etapy, na których młodość zwykle traci stopniowo po jednem piórze ze swych orlich skrzydeł: hulał i trwonił pieniądze, uwiódł i porzucił dziewczynę, którą niegdyś kochał, upajał się atmosferą fałszu i pochlebstwa, która łechtała jego miłość własną, miał romans z żoną sąsiada, był narzeczo-

nym córki jeneralskiej itd. Wprawdzie porywał się kilkakrotnie wymiatać z duszy nagromadzające się w niej śmiecie, lecz napróżno, fale śmiecia zalewały ją coraz bardziej.

I oto przypadek zdarzył, że, będąc sędzią przysięgłym, N. spotyka na ławie oskarżonych dawną wychowankę swoich ciotek, tę samą Kasię, którą niegdyś kochał, potem uwiódł, porzucił i zapomniał o niej. Rozprawy sądowe odsłaniają przed nim okropną otchłań rozpusty, hańby, ciemności i zbrodni, w której żyła opuszczona przezeń Kasia. Spogląda w tę otchłań z przerażeniem i męką, nie jako widz obojętny i sędzia karzący, lecz jako współwinowajca. W pierwszej chwili ogarnia go lęk samolubny, żeby jego stosunek do Kasi i jego rola w jej życiu na jaw nie wyszły. „N. wciąż jeszcze nie poddawał się temu uczuciu żalu, które zaczynało się w nim budzić. Mniemał bowiem, że wszystko to jest tylko dziwnym przypadkiem, który nic pozostawi żadnego śladu w jego życiu. Czul się w położeniu szczenięcia, które pan uczy porządku i, schwytawszy na gorącym uczynku, bierze za kark i pakuje nosem w nieczystość. Szczenię skomli, cofa się, żeby być jak najdalej od skutków swego czynu i zapomnieć o nim, lecz nieubłagany pan nie wypuszcza go z rąk. Tak samo N. czuł całą obrzydliwość swego czynu, czuł na sobie potężną rękę pana, lecz nie rozumiał jeszcze całej doniosłości tego, co uczynił, nie uznawał samego pana. Nie chciał jeszcze wierzyć, żeby to, co odbywało się teraz przed jego oczyma, miało być dziełem rąk jego. Lecz niewidzialna, nieubłagana ręka trzymała go mocno i wiedział, że się nie wymknie. Napozór nie tracił otuchy i w swej pozie człowieka pewnego siebie siedział na krześle, założywszy nogę na nogę, i bawił się binoklami. A tymczasem w głębi duszy odczuwał już całe okrucieństwo, podłość, nikczemność nietylko krzywdy, wyrządzonej Kasi, lecz całego swego życia — bezczynnego, rozpustnego, samolubnego. Straszna zasłona, która w ciągu dwunastu lat ukrywała przed nim zbrodnię i całe jego następne życie, straszna ta zasłona już zaczynała się kołysać i chwilami wzrok N. sięgał po za nią.“ Dzięki wzruszeniu, które coraz się wzmaga, N. przyczynia się pośrednio do wydania wyroku, skazującego niewinną Kasię na cztery lata ciężkich robót. Pod wrażeniem tej nowej krzywdy zapomina o swych obawach samolubnych i szuka sposobów naprawienia omyłki: udaje się do prezesa sądu, do adwokata, do prokuratora i wszędzie napotyka nieprzezwyciężoną zaporę — bezwład formalizmu. Rozpoczyna się długa gra, której końca N. wcale nie przewiduje.

Tymczasem sumienie, zbudzone chęcią naprawienia krzywdy, nie zaprzestaje swej cichej, powolnej pracy. Na pomoc przychodzą mu szeregi wspomnień, związanych z osobą Kasi (wogóle wspomnienia są tu główną sprężyną mechanizmu, posuwającego sprawę stopniowego odradzania się duszy zarówno Kasi, jak Niechludowa). Wiemy już, jakiego rodzaju były te wspomnienia. Na ich tle uwydatnia się potworność życia, które pędził N. w ostatnich latach. To też pierwszym czynem, wynikającym z rozmyślań nad stosunkiem do Kasi, jest zerwanie z dotychczasowym trybem życia. „Zerwę te więzy kłamstwa, krępujące mnie, powiem wszystkim prawdę i prawdę wcielę w czyny moje. Powiem prawdę *Missi* (narzeczona), że jestem rozpustnikiem, że nie mogę się z nią ożenić; powiem mężowi Maryi Wasiljewny, że go podle oszukiwałem; ze spadkiem po matce postąpię tak, aby dać świadectwo prawdzie. Kasi powiem, żem podły, wyznam przed nią swą winę i zrobię wszystko, co mogę, aby ulżyć jej losowi. Tak, zobaczę się z nią i będę prosił o przebaczenie. N. zatrzymał się.

— Ożenię się z nią, jeżeli tego będzie potrzeba.

Stanął, złożył ręce, jak to czynił w dzieciństwie, wzniósł oczy ku górze i wymówił: — Panie, dopomóż mi, naucz mnie, zejdź i wciel się we mnie i oczyść mnie od wszelkich nieprawości. — Modlił się, prosił Boga o pomoc, o powstanie z nieprawości, a tymczasem to, o co prosił, już się było spełniło. Czuł w sobie nietylko swobodę, lekkość i radość życia, lecz całą potęgę dobra. Czuł w sobie moc spełnienia czynów dobrych, na jakie tylko mógł się człowiek zdobyć. W oczach jego błyszczały łzy: były to łzy czyste, łzy radości z przebudzenia się istoty duchowej, która tyle lat w nim drzemała, i łzy nieczyste — dlatego, że były to łzy rozczulenia nad samym sobą, nad swoją cnotą.“ Kasia niezbyt się myli, kiedy odtrącając z nienawiścią rękę uwodziciela, rzuca mu w oczy te słowa: „Bawiłoś się mną, a teraz chcesz przeze mnie do nieba trafić, duszę zbawić.“

Podczas długich zabiegów około sprawy Kasi, N. zapoznaje się zblizka z takiemi instytucyami, jak sąd, więzienie, styka się z urzędnikami, których znał jako ludzi z „towarzystwa,“ a teraz widzi w roli wykonawców Nemezydy społecznej. Cały ten świat ukazuje mu się w zupełnie nowem świetle, gdyż ogląda go od strony krzywdy ludzkiej. I przychodzi do przekonania, że „to, co świat ten uważa za dobre i ważne, małem jest i nędznem i cały ten ład zewnętrzny okrywa tylko stare, powszednie zbrodnie.“ Z drugiej strony dzięki częstemu odwiedzaniu Kasi i za jej pośrednictwem poznaje więźniów, ich życie i sprawy. Wobec tego piekła nędzy, krzywdy i cierpienia znika samolubna pycha cnoty, maleją własne sprawy i przeistacza się stopniowo moralna istota N. Kiedy rozmyśla nad tem, kto jest sprawcą bezużytecznych cierpień więźniów, to blizkim już jest tej odpowiedzi, od której ma się zacząć jego nowe życie: „A stało się to dlatego, że ci wszyscy — gubernatorzy, zawiadowcy, rewirowi i policyanci — pamiętali tylko o swych powinnościach służbowych, a nie widzieli przed sobą ludzi, względem których mieli pewne obowiązki. Złe tkwi w tem, że ludzie myślą, iż są takie wypadki, w których wolno obchodzić się z ludźmi bez miłości, lecz takich wypadków niema. Miłość jest kardynalnem prawem życia ludzkiego. Dość jest uchylić się nieco od tego prawa, a wnet znikają wszelkie granice okrucieństwa i zbydlęcenia, do jakiego mogą dojść stosunki pomiędzy ludźmi.“ Nie będziemy kreślić dalszych kolei rozmyślań, zwątpienia i wahania, które przebył N. Dopiero po zupełnem oderwaniu się od świata, w którym żył, po spaleniu mostów za sobą, po zbliżeniu się do ludzi nieszczęśliwych a wydziedziczonych, po odbyciu drogi czyścowej etapów syberyjskich, w której towarzyszy Kasi, odsłania się przed N. zapoznana prawda, zawierająca tajemnicę życia. Znajduje ją w Ewangelii Mateusza (XVIII): „Szukajcie naprzód królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a to wszystko będzie wam przydano.“

Naszkicowaliśmy tu pobieżnie dzieje stopniowego odradzania się N.—pod względem artystycznym najmniej może ciekawą stronę powieści, — rzucają one bowiem światło na psychologię dramatu samego autora. Dzieje te wszakże nie wyczerpują bynajmniej treści „Zmartwychwstania.“ Moralne odradzanie się Kasi, zdziczałej i upadłej kobiety, wypełnia znaczną część utworu. A nadto w powieści tej, zbudowanej z przedziwną prostotą, Tołstoj roztacza przed nami szerokie, z niezwykłą mocą i artyzmem namalowane obrazy życia społecznego: po kolei oglądamy to machinę sądową w biegu z całym zastępem dosadnie scharakteryzowanych sędziów, prokuratorów, adwokatów, świadków itd., to więzienia z tłumami nieszczęśliwych mieszkańców — wstrząsające sceny we wnętrzach cel, na ulicach, w wagonach, na etapach syberyjskich, to życie chłopów na wsi (najładniejsze ustępy pod względem artystycznym), to świat arystokracyi, senatorów, wysokich urzędników, pań histerycznych itd. Olbrzymie mrowisko ludzkie ze wszystkiem, co jest w nim dobrego, nikczemnego, głupiego, przypadkowego, okrutnego — oświetlone silnem, jednolitem światłem, które płynie z rozbudzonego nadmiarem krzywdy sumienia. Pod blaskiem tego światła ukazują się ukryte strony życia, odsłaniają się nowe, nieznane widnokręgi; jest ono jak grom, który wśród nocy oświeca drogę zbłąkanym pielgrzymom.

* *

Treścią swą, mnogością poruszonych zagadnień, rozległością nakreślonych obrazów, wreszcie rozgłosem swoim „Zmartwychwstanie“ przypomina „Nędzników“ Wiktora Hugo. I tu i tam odmalowane są wszystkie warstwy społeczne od szczytu aż do nizin, i tu i tam czujemy przeciwstawienie prostoty i prawdy warstw wydziedziczonych fałszowi i samolubstwu uprzywilejowanych, i tu i tam widzimy miecz sprawiedliwości ludzkiej, zawieszony nad zbrodnią, i tu i tam oglądamy ponure przybytki nędzy, rozpaczy i upodlenia, z których się dźwiga człowiek upadły przez zmartwychwstanie moralne. Lecz na tem kończy się pozorne podobieństwo obu utworów. Zarówno rodzaj artyzmu — który u W. Hugo jest sztuczny, pełen przesady i symbolów a u Tołstoja jest realistyczny, prosty, nawet brutalny — jak filozofia autorów, duch, który wieje od tych książek, są różne. Osią obu utworów jest odrodzenie moralne człowieka. Lecz podczas gdy w „Nędznikach“ poziom moralny, do którego powinien dorosnąć człowiek, nie wznosi się po nad ogólnie przyjęty, w „Zmartwychwstaniu“ przekracza on daleko granice najśmielszych marzeń ludzkich, kruszy nielitościwie dotychczasowe podstawy działalności człowieka, wiąże w jednolitą całość rozproszone sfery jego życia i odsuwa się daleko naprzód w nęcący dal ideału. A i mechanizm odrodzenia jest zgoła odmienny. W „Nędznikach“ dźwignią odrodzenia jest *skrucha*, czynność zupełnie bierna i formalna, dostrajająca człowieka do pewnego, po za nim istniejącego, dyapazonu W „Zmartwychwstaniu“ taką dźwignią jest *miłość*, akt żywego sumienia, usiłującego stworzyć w samym człowieku niegasnące ognisko nowego życia na ziemi. Formuła „Nędzników“ jest: zbrodniarz+skrucha=porządny człowiek. Formuła Tołstoja jest: porządny człowiek—miłość=zbrodniarz.

S. Stempowski.

HENRYK IBSEN.

EPILOG.

Istotnie, zdaje mi się, że ten nowy dramat Ibsena jest zarazem ostatnim jego psychologicznym dramatem. Jest kresem owego świata, jaki stworzyła i zaludniła myśl Ibsenowska, owym kresem, po za którym niema już nic dla żywych... W ciężkiej godzinie skonu pogasły wszystkie światła, od chłodu śmierci powiędły wszystkie nadzieje, zamarł nawet dźwięk pogrzebowych dzwonów, które biły w zmartwychwstań godzinę...

Bowiem i ta godzina jest wiekiem strasznego smutku, do ponownego pogrzebu raczej, niźli do odrodzenia podobną.

Rozbitkom, duszom spopielonym, które z oceanów życia wpłynęły do literatury na Ibsenowskiej łodzi, ich braciom i siostrom, beznadziejnie w świecie zbłąkanym dra-

matyczny epilog: „Gdy się zbudzimy, którzyśmy umarli,“ niesie ostatnie pożegnanie, ostatnie błogosławieństwo na ostatnią, bezpowrotną drogę.

„Pokój z wami!“

W tem znaczeniu jest to epilog. Tym wszystkim smutnym duchom, którym w dwunastu dramatach uświadomił Ibsen rozpaczliwą pomyłkę ich życia, nic już do powiedzenia nie ma. Bolesną, bezlitosną prawdę zamyka tedy w ostatni akord — tak rozdzierający i tak nieubłagany, jak chybione, przegrane życie, którego jest syntezą i wyrazem.

I jest to epilog poniekąd konieczny. Zamyka on wyznanie wiary bojownika i poety, który w 72-im roku życia, na poprzek wszystkim i wszystkiemu, z żadnym artykułem urzędowej cnoty kompromisu nie zawarł. Mógł ten i ów powiedzieć: A jednak... Jednak sam wielki mistrz pesymizmu nie zawsze odważnie prawdzie w oczy zaglądał. I on miał chwile wahania, i on mniemał, że w ostateczności... człowiek z szczęścia wyzuty ugodę jakąś z życiem zawrzeć może. Tak postąpili przecież rodzice małego Egolffa, niewątpliwie szlachetni, uczciwi i tęskniący za pięknem i doskonałem szczęściem ludzie... Otóż nie. Schwycili tylko pierwszą lepszą dziką kaczkę, która nie wyśpiewa im nigdy łabędziej pieśni. Umarli, zachowując jedynie pozory i zwyczaje życia. Snu „nocy letniej na szczytach“ nie prześnią już nigdy. A taką letnią nocą na szczytach musi być przecież piękne, pełne i bogate życie. Alfred i Ryta Allmers, podobnie jak profesor Rubeck i Irena w godzinę smutnego zmartwychwstania powiedzą: „Którzyśmy umarli, budząc się, widzimy, że nie żyliśmy nigdy.“

Ibsen zaś już dziś widzi ich mogiłę i mówi: Umarliście. Niema już dla was żadnej drogi i cel, który wam wytknąłem, złudzeniem jest. Nie chcę was oszukiwać i wy dusz waszych, szczęścia złaknionych, nie oszukacie. Próżne są wasze zabiegi — z dróg przeznaczenia nikt bezkarnie nie schodzi. Umarliście! Bóg z wami!“

Duch hardy i butny nie spokorniał, nie pochylił się pod razami mieszczańskiej mądrości. Tylko jeszcze śmielej, głośniej i bezwzględniej do tych, którzy w życie idą, woła: „Z tarczą lub na tarczy! Na szczyty lub do grobu! Dróg pośrednich niema — a gdy mniemacie, że są, wiedzcie, że z nich właśnie wionie na was śmierć stokrotna — świadomość nędznie i sromotnie straconego życia!“

Tylko że tak trudno jest znaleźć człowiekowi jego drogę. Kędy są owe szczyty, z których dojrzeć można cały przepych i nieprzebrane skarby bytu? Profesorowi Rubeckowi zdawało się, że jego drogą, szczęściem i celem jest sztuka. Jej całkowicie służył. Stworzył dzieło, które zadziwiło świat, przyniosło mu wawrzyny i bogactwo — i cóż? I nagle martwe głazy — bo rzeźbiarzem był — przejęły go wstrętem i pomyślał sobie, że życie w słońcu i pięknie przeżyte stokroć ma większą cenę, niż jego praca. Młodość jest piękna — ożenił się tedy z młodą, świeżą dziewczyną. Ją i siebie otoczył dostatkiem — żył, jak chciał — lecz dusza jego gnuśniała i zwolna nasiąkała goryczą. Znienawidził ten bogaty tłum, który mu dał sławę i pieniądze, nie wiedząc nawet, za co płaci i mścił się na nim, rzucając w świat „uderzająco“ podobne popiersia, z których każde znaczył bezbrzeżną dla ludzi pogardą. Ta zaś praca w nienawiści poczęta męczyła i drażniła go. Więc znowu zapragnął pracy dawniejszej — tej, która zrodziła „Dzień zmartwychwstania.“ Lecz dawnego artysty, twórcy i fanatyka sztuki odnaleźć w sobie nie umiał.

Gdzież się podział — gdzie się zatracił? Gdzie zgubił Rubeck duszę swoją? Nie zabrała mu jej pani Maja — żona, bo nie wiedziałaby nawet, coby z duszą takiego artysty począć. Sama to przyznaje. Tej młodej, nawskroś fizycznej istocie potrzeba ruchu, powietrza, gwałtownych a prostych wrażeń, męzkiego ramienia, któreby ją mocno i pewnie objęło — słowem, trzeba jej królestwa z *tego* świata. Nie jest kobietą Rubecka i nudzi się w jego świecie. I Rubeck, nic jej dać nie mogąc, czuje swoją nędzę i — dostrzega pomyłkę. Bowiem staje mu przed oczami kobieta, której zawdzięczał moc i wielkość swoją w owych dniach, kiedy sztuka była jego bożyszczem, kobieta, która jego łódź niespokojną z wirów wyobraźni wyprowadzała na równe, jasne fale pogodnej twórczości i była mu, jako biały łabędź Lohengrinowy; pojmuje nagle, że ona jest ową *jedyną* i że ona jedna rozbudzić w nim może uśpione i zmartwiałe loty.

Piękność jej natchnęła go niegdyś do wielkiego dzieła, w którem zaklął swój ideał życia. W jej samotnej czystej, żadnym brudem ziemskim nietkniętej i jasnością młodych słońc opromienionej postaci przedstawił „dzień zmartwychwstania.“ Tworząc, był tylko artystą, ona służąc mu, była tylko kobietą. Kochała go. I kochała dzieło jego — jako jego i swoje dziecko. Dla niej Rubeck był treścią i sensem życia — dla niego spotkanie z nią było szczęśliwym „epizodem.“ Irena jest zanadto Ibsenowską kobietą, aby ciężaru słów nie czuła. Więc gdy jej Rubeck tem słowem za jej królewską ofiarę dziękuje, odchodzi. Straciwszy sens życia, traci zmysły. Oddała mu całą młodą, żywą duszę: bez duszy — dla życia umiera. I szaleje w niej już tylko żal za szczęściem bezpowrotnie utraconem, za tem wszystkiem, do czego rwała się jej bujna, bogata natura i co powoli przybiera postać zmory, krok w krok za nią idącej. Posuwa się za nią istotnie cień nieprześnionych marzeń, które nienawidzi i którym już nie wierzy, bo ją oszukały.

I instynkt życia zaginął w niej. Nie wierzy już w swoje i jego zmartwychwstanie. „Zbudziłam się — powiada i oto widzę żeście trupy oboje — Ty i życie... I trupem w nas jest owa miłość *z tego świata*, z tego czarownego, rozkosznego i tak pełnego tajemnic świata.“

Lecz tej właśnie miłości, po nad którą przenosił kształt z martwej gliny, Rubeck ze wszystkich sił duszy pragnie. I zanim powróci jako trup do grobu, czarę zapoznanej miłości do dna chce wychylić. Po przez ciężkie, nawalne mgły idą oboje na szczyty, do słońca. Górska lawina pokrywa ich całunem, w śniegach znajdują ślubne i śmiertelne zarazem posłanie.

A pani Maja schodzi tymczasem z gór w doliny i tryumfującą pieśnią wita nowe życie, które rozpocznie ze *swoim* mężczyzną. Pani Maja znalazła bowiem swego mężczyznę i przed „godzinami duszy“ trwogi już nie zazna...

Jest bezbrzeżna melancholia w tem pożegnaniu poety z duchami, ktorymi świat swój zaludniał. Tak długo malował przed ich stęsknionemi oczami rozkoszne wizye szczęścia i ani jednemu, z tych najukochańczych swoich, wizyi owej, jako rzeczywistości, w życie wpleść nie mógł. I oto stoi nad drogiemi mogiłami i tylko już dla nich o spokój prosi. Niechaj już tych umarłych nic nie straszy, nie niepokoi i ze snu wieczystego nie budzi. Niechaj śpią cichym, nieprzespanym snem, ci, którzy w wierze dla ideału swego umrzeć potrafili...

...Niema tu nigdzie miejsca dla nich. Ani miejsca — ani spoczynku — ani przystani...

Więc nie mogąc w pięknie żyć, muszę przynajmniej w pięknie odejść.

Dokąd zwróci się Ibsen z tych białych niw śmierci? Pożegnał rozbitków. Mai znalazł towarzysza — jakimże więc poświęci się ludziom? Zwróciłby się może do szczęśliwych, gdyby byli, tak bardzo czuć w nim pragnienie wyśpiewania radosnego hymnu na cześć życia.

Ale nie skłamie... Więc pisze podobno pamiętniki...

Malwina Posner-Garfeinowa.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

HISTORYA. W. Zakrzewski: „Historya nowożytna w zarysie.“ Wyd. II. Grendyszyński.

SPRAWY EKONOMICZNE. Dr. Z. Daszyńska-Golińska: „Własność rolna w Galicyi.“ (Odb. z *Ateneum*).

PEDAGOGIKA. M. Weryho: „Jak zająć dzieci w wieku przedszkolnym.“ Grendyszyński.

POWIEŚCI. K. Gliński: „Krzywda.“ Gebethner i Wolff.

— W. Sieroszewski: „Brzask.“ Gebethner i Wolff.

— Z. Kaczkowski: „Wybór pism“ z przedm. J. Chrzanowskiego, t. VI (Starosta Hołobucki), t. VII (Grób Nieczui). Gebethner i Wolff.

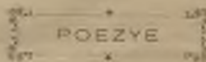
POEZYE. Or—ot (A. Oppman): „Wybór poezyi.“ Gebethner i Wolff.

„Pieśni Anakreonta.“ Lwów.

KOMEDYE. B. Wędrychowski: „Komedye.“ Warszawa.

ODCZYTY. T. Kucharzewski: „O początkach piśmiennictwa technicznego w Polsce.“ Warszawa.

WYDAWNICTWA ZBIOROWE. „Dla siebie.“ Wyd. Kasy literackiej.



Nurek.

Ból, niby nurek, pogrąża się w ciemnie
Tajników duszy, dłonią bezlitosną
Szuka tam skarbów i nieraz daremnie:
Zdobywa ledwie skargi muszlę głośną.

Lecz znów się rzuca w najgłębsze odmęty
I póty szarpie dno duszy wytrwale,
Aż, gdy go na wierzch łez wyniosą fale,
Ma w krwawych dłoniach perły i diamenty.

Siatka.

W życie, jak w morze, podobna do sieci
Rzucona dusza z nieskończonej fali
Wyławia muszle, odłamki korali,
Muł, trawę, pianę, a najwięcej... śmieci.

Próżno się siatka stara i spodziewa
Istotę morza ująć; mętna fala,
Targając włókna, po przez jej ogniwa
W swym ustawicznym pędzie się przewala.

Morze grzmi ciągle — a sieć wola boża
Wyciąga z czasem i w swem słońcu suszy.
I owa siatka wydobyta z morza
To obraz śmierci — bez zniszczenia duszy.

A, może, kiedyś, gdy w trudzie połowu
Zszargana siatka w słońcu się wybieli,
Rybacy Pańscy — skrzydlaci anieli
W czystszy ocean zarzucą ją znowu?

G. Daniłowski.

W DALI.



Łódź. W granicach miasta urzędowego podczas spisu jednodniowego Łódź liczyła 310,000 mieszkańców. Cyfra ta wszakże znacznie się zwiększy, jeżeli dodamy przedmieścia, połączone dziś z miastem bezpośrednio. *Goniec Łódzki*, zastanawiając się nad olbrzymim wzrostem tego pierwszorzędnego ogniska, robi przegląd jego wad i braków w sposób następujący: „To miasto przemysłowo-handlowe, które nieomal wyłącznie wypowiada się w formach wytwórczości i zamiany, pozbawione jest kardynalnego warunku tej działalności: środków komunikacyjnych." Autor przezorny twierdzi, że w razie jakiejś katastrofy, niszczącej na pewien czas pojedynczy tor jedynej kolei żelaznej, obsługującej potrzeby tak licznej rzeszy, miasto znalazłoby się prawie w stanie oblężenia. Wszystkie bowiem drogi kołowe są zaniedbane, a w pewnych porach roku — zupełnie niemożliwe do przebycia. A jednak dotychczas nie pomyślano wcale o tak ważnym warunku nietylko dla przemysłu i handlu, lecz wogóle dla ludności wielotysięcznej, która mogłaby się naraz znaleźć w bardzo krytycznem położeniu. — Łódź zdobędzie się wkrótce na udoskonalenie i rozwój magistratu, przy którym między innemi ma być urządzona miejska stacya bakteryologiczna — nabytek wielce pożądany w zakresie hygieny społecznej.

Radom. Obywatele miasta czynią usilne zabiegi o pozostawienie nadal w Radomiu zarządu kolei Dąbrowskiej. W tym celu odbyło się nawet zebranie interesowanych, na którem dr. Henryk Fidler dowodził, że na usunięciu zarządu miasto straci co najmniej 1,100,000 rubli. Wybrano pp. Włodzimierza Kulczyckiego, Antoniego Sobieszczańskiego, Konstantego Zarembę i wnioskodawcę dr. Henryka Fidlera i dano im upoważnienie do uzyskania w tej sprawie decyzyi przychylnej dla miasta. — Obciążenie 733 majątków ziemskich w gub. Radomskiej pożyczką Towarzystwa kredytowego ziemskiego wynosiło w roku ubiegłym 9,871,000 rb.; zaległych i bieżących rat było 808,638 rb., z których przez rok 1899 zapłacono 587,055, pozostało na r. b. 221,572 rb.

Petersburg. *Birżewyja Wied.* donoszą: „Do naczelnika stacyi w Dźwińsku zgłosił się młody obywatel ziemski z okolic tego miasta i zażądał specyalnego pociągu kuryerskiego pod warunkiem, aby ten przybył do Petersburga nie później, jak o 2-ej w nocy. Młodzieniec, zapytany o przyczynę takiego pośpiechu, odpowiedział, że tego samego dnia jest bal w Petersburgu, na którym dał słowo tańczyć mazura z pewną panną. Przygotowano pociąg, składający się z lokomotywy i 2 wagonów. Uszczęśliwiony młodzieniec zapłacił w kasie 1,002 rb. z kopiejkami. Po wydaniu mu reszty przypomniał sobie o ubogich i oświadczył naczelnikowi stacyi, że całą resztę w ilości 62 kop. ofiarował na cel dobroczynny — do rozdania żebrakom. Ale wskutek dziwnej nieuczynności, naczelnik stacyi nie podjął się wypełnienia tego polecenia. Młodzieniec ten otrzymał niedawno bardzo znaczną sukcesyę. Sądzimy, że będzie mu przyjemnie, skoro wymienimy jego nazwisko. Jest to niejaki p. Franciszek Mohl, właściciel dóbr Józefinowo pod Dźwińskiem." — *Nowosti* przewidują długotrwałe przesilenie węglowe i przypuszczenia swoje motywują w sposób następujący: Do roku bieżącego niedobór w produkcyi wobec zapotrzebowanej ilości w zagłębiu dońskiem wynosił 30 milionów pudów, w dąbrowskiem 20 mil. p. W rzeczywistości atoli z wielu przyczyn niedobór ten będzie znacznie większy. Zapobiedz w dalszym ciągu następstwom niepomyślnym można tylko drogą ogólnego zniżenia cła od węgla zagranicznego. W usunięciu zaś powtórzenia się kryzysu interesowani są nietylko odbiorcy prywatni, ale i bardzo wiele gałęzi przemysłu fabrycznego wraz z przedsiębiorstwami kolejowemi i żeglugowemi. Niektóre południowe zakłady metalurgiczne teraz zmuszone były, pod wpływem przesilenia węglowego, zmniejszyć swą produkcyę i rozpuścić część robotników. Nie dadzą się chyba w żaden sposób wytłomaczyć tak wielkie ofiary, ponoszone wyłącznie dla utrzymania interesów spekulacyi, do której chętnie uciekają się zarówno sami właściciele kopalń, jak i handlujący, w celu powiększenia swych zysków kosztem spożywców.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne Zatwierdzono ustawę przytułku dla dziewcząt w Petersburgu. Instytucyę tę zakłada Towarzystwo międzynarodowe opieki nad ubogiemi dziewczętami — sierotami wyznania katolickiego.

— W Petersburgu powstało Towarzystwo litewskie wzajemnej pomocy. Przewodniczący p. Mażonos, sekretarz Szyczkiewicz, skarbnik Zawko. Zabiegi o tę instytucyę trwały od r. 1896.

— Brak sił roboczych daje się już dotkliwie uczuwać w okolicach Łodzi, gdzie obsługa folwarków i roboty rolne cierpią ustawicznie. Wskutek tego, jak donosi *Goniec łódzki*, niektórzy z ziemian zwrócili się podobno do miejscowych instytucyj filantropijnych z prośbą o dostarczenie im ludzi, napróżno w mieście poszukujących zarobku.

— Posłowie od kuryi włościańskiej w Helsingforsie wnieśli do sejmu projekt prawa o skasowaniu opieki państwowej nad prostytucyą i wprowadzeniu kar za postępki uwłaczające moralności. (*Siewiernyj Kuryer* nr. 86. 1900 r.).

Szkoły. Projekt reformy szkół technicznych polega głównie na tem, że zamiast dotychczasowych trzech rzędów, będą tylko pierwszo i drugorzędne. Wychowańcy ich korzystać mogą z przywilejów i ulg przy odsługiwaniu powinności wojskowej na równi z kończącymi średnie i wyższe zakłady naukowe.

— W internacie przy gimnazyum siedleckiem będzie wprowadzona nauka wyrobów ręcznych z drzewa.

— Trzyklasowa niższa szkoła techniczna p. Świecimskiego w Warszawie, z wydziałami mechanicznym, budowlanym i chemicznym, od nowego roku szkolnego otwiera wydział agronomiczny z programem czteroklasowej średniej szkoły agronomicznej. Jednocześnie szkoła p. Świecimskiego z ul. Smolnej będzie przeniesiona do Ursynowa i w części do Natolina, gdzie urządzone będą: warsztaty szkolne, wzorowa ferma gospodarcza i internaty.

— Na katedrę chorób skórnych i wenerycznych w uniwersytecie warszawskim powołano prywatdocenta uniwersytetu św. Włodzimierza w Kijowie, p. Nikolskiego.

Banknoty dawne. *Praw. Wiest.* ogłosił rozkaz Najwyższy, na którego mocy banknoty 25 rb., 10 rb. i 5 rb. wzoru 1888 r. i 100 rb. wzoru 1868 r. mogą być jeszcze przyjmowane do d. 31 grudnia (st. st.) 1900 r., poczem zupełnie będą wycofane z obiegu. Przypomnienie o tem ma być co miesiąc drukowane w *Praw. Wiestn.*, we wszystkich *Gub. Wiedom.* oraz w *Sielsk. Wiestn.* Prócz tego gubernatorom polecono przedsięwziąć środki, aby ludność wiejska była dokładnie poinformowaną o tem rozporządzeniu.

Nagroda. Towarzystwo lekarskie warszawskie zawiadamia, iż nagroda w kwocie rb. 240, imienia Tytusa Chałubińskiego, przyznana będzie w r. 1901 za najlepszą pracę oryginalną z dziedziny nauk lekarskich lub pomocniczych w zastosowaniu do medycyny, ogłoszoną drukiem w języku polskim w czasie od d. 1 stycznia 1898 r. do d. 31 grudnia 1900 roku.

Własność ziemska. Ogłoszono świeżo wykaz wielkich właścicieli ziemskich polskich i niemieckich, którzy posiadają 2,000 i więcej hektarów ziemi w W. Księztwie. Podług tego zestawienia jest takich wielkich właścicieli Niemców razem 65 i ci posiadają 311,904 hektary, tj. około 1 miliona 247 tysięcy morgów; Polaków jest razem 68; posiadają 284,842 hektary, tj. około 1 miliona 137 tysięcy morgów ziemi. Z pomiędzy 65 Niemców mieszka 21 po za prowincyą, a 44 w Księztwie. Z pomiędzy 68 Polaków mieszka po za prowincyą tylko 4. Do pierwszych pięciu największych właścicieli Niemców należą: książę Thurn-Taxis (25,632 hektar.), książę Hohenzollern - Sigmaringen (17,425), Kennemann (16,642), hr. Schulenberg (13.421), książę na Pszczynie (9,958). Cesarz niemiecki posiada w Księztwie 7,157 hektar., Z niemieckich książąt krwi jest 6, którzy mają posiadłości ziemskie w Księztwie. Do niemieckich zaliczono w wykazie także dobra Obrzyckie hr. Raczyńskiego i dobra Smogulec hr. Hutten-Czapskiego. Do pierwszych pięciu największych właścicieli Polaków należą: ks. Ferdynand Radziwiłł (15,562 hektar.), hr. Leon Skórzewski z Łabiszyna (12,040), hr. Józef Mielżyński z Iwna (10,137), Kurnatowski z Biezdrowa (9,807), Bolesław Potocki z Bendlewa (8,151 hektar.).

Zdrowie publiczne. Według sprawozdania Towarzystwa opieki nad nieuleczalnymi, przytułek dla rakowatych w Królikarni d. 1 stycz. r. b. liczył 20 chorych. W lecznicach Towarzystwa (na Wspólnej nr. 69, Kanonej nr. 8 i Sewerynowie) przyjęto w styczniu ogółem chorych 4,315.

— Iłżecka rada powiatowa dobroczynności publicznej postanowiła na wiosnę r. b. przystąpić do budowy szpitala w Iłży. Będzie on miał 15 łóżek w dwu oddziałach: dla mężczyzn i kobiet, z osobnemi izbami dla chorych „wewnętrznych" i „chirurgicznych," z lokalami dla lekarzy i felczerów Koszt budowy wyniesie przeszło 20,000 rb.

Koleje i komunikacye. Główny zarząd poczt i telegrafów zatwierdził plany następujących linij telegraficznych: Radom—Opoczno, Radom—Opatów i Radom—Piotrków.

— Celem ochrony podróżnych od kradzieży w pociągach, mają być wprowadzone przekazy telegraficzne pomiędzy stacyami większemi. Podróżny kupując bilet, złoży w kasie pieniądze, jakie ma przy sobie i odbierze je na stacyi, wskazanej, na mocy przekazu telegraficznego. (*Birż. Wied.*).

Przemysł i handel. Zatwierdzono nową spółkę ziemian w gub. Warszawskiej pod nazwą: „Warszawski syndykat rolniczy." Założycielami jej są: Maciej ks. Radziwiłł, Ksawery hr. Branicki, Kazimierz Sobański, Marcin Krzymuski, Adam Boniecki, Maryan hr. Starzeński, Michał Byszewski, Franciszek Kuczyński, Wilhelm Meylert, Antoni Nowicki, Antoni Wieniawski, Władysław Kisiański.

Wystawy i zjazdy. Zjazd ogólny (60-ty) do spraw taryfowych w Petersburgu zajmie się sprawą taryf na przewóz nafty z Saratowa do Królestwa Polskiego. Rozpoczyna swoją działalność 19 marca.

— Roku 1902 odbędzie się w Petersburgu kongres międzynarodowy hodowli ryb i rybołóstwa.

— Dnia 13 lutego otwarto w Kijowie tradycyjne kontrakty.

— W Kijowie otwarto wystawę obrazów, urządzoną przez literata Jana Ursyna. Są tam między innymi obrazy: Żmurki, Krzesza, Olronia, Ruszczyca, Swiętosławskiego, Biernackiej, Jasieńskiego, Okniúskiego, Wrzeszcza, Piotrowskiego, Moniuszki, akwarele Artura Grottgera. Ogółem wszystkich 180.

— W Sierpniu r. b. w Berdyczowie będzie urządzona wystawa rolnicza i przemysłowa. Inicyatorami są członkowie kijowskiego Towarzystwa rolniczego, zamieszkali w Berdyczowie.

— Ministeryum rolnictwa i dóbr państwa opracowało ustawę normalną dla wystaw rolniczych, określającą ich cele, zadania i sposób urządzania. Wystawy mogą być ogólne, obejmujące wszystkie lub większą część gałęzi rolnictwa, albo też specyalne, poświęcone jednej lub kilku gałęziom, ściśle z sobą związanym. Mogą one być urządzane, niezależnie od ministeryum rolnictwa, przez ziemstwa, towarzystwa rolnicze, inne instytucye publiczne, a nawet osoby prywatne — i dzielą się na wszechpaństwowe, okręgowe i miejscowe. Wystawy wszechpaństwowe i okręgowe urządzane być mogą za osobnem zezwoleniem ministeryum rolnictwa i dóbr państwa, przyczem podania o pozwolenie powinny być składane w ministeryum najpóźniej na dwa miesiące przed zamierzonem otwarciem. W roku, w którym ma być urządzona wystawa wszechpaństwowa, okręgowych otwierać nie wolno. Na terytoryum, któremu pozwolono urządzać wystawę okręgową, druga także wystawa w tymże roku nie może być otwartą. Urządzanie wystaw rolniczych z okazami z jednej gubernii zależnem będzie wyłącznie od pozwolenia gubernatora miejscowego. Wystawy wszechpaństwowe i okręgowe urządzane będą na zasadzie przepisów

zatwierdzonych za każdym razem przez ministeryum rolnictwa. Inne (prócz organizowanych przy szkołach, stacyach doświadczalnych itp.), urządzane być winny według programu normalnego, wydanego przez ministeryum rolnictwa. Sprawozdania z rezultatów wystaw ogłaszać ma corocznie departament rolnictwa.

— W Petersburgu mają być zwoływane peryodyczne zjazdy przedstawicieli przedsiębiorstw górniczych, metalurgicznych, mechanicznych, fabryk wagonów i maszyn z okręgu północnego i nadbałtyckiego, z udziałem przedstawicieli ministeryów właściwych.

Zmarli. Bohdan Piasecki, adwokat przysięgły, zakończył życie nagle, w pełni sił i młodości. Człowiek zacny; pozostawił serdeczny żal po sobie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Henr. Hag. Obrazek niewykończony, ale zrozumiały, niestaranny w formie i niepomyślany w treści. Niech Pan się tylko zastanowi w imieniu czytelnika: dlaczego życie jest „prawem“ a śmierć „gwałtem“; dlaczego opowiadający był obojętnym dla umierającego brata, kochając Zosię; dlaczego ten brat swym zgonem składał ofiarę? I tak dalej.

Panu J. Les. w Tichwinie. Szkoła handlowa Laskusa, techniczna Świecimskiego, komercyjna Rontalera, mechaniczno-techniczna Mittego, szkoła miejska z rzemiosłami (6-klasowa) im. A. Hansena, szkoła rzemiosł Kühna. Wszelkich szczegółów udzielą listownie dyrektorowie tych zakładów. Adresować można do Warszawy, z wymienieniem tylko tytułu dyrektora i nazwy szkoły.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 4 Февраля 1900 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.